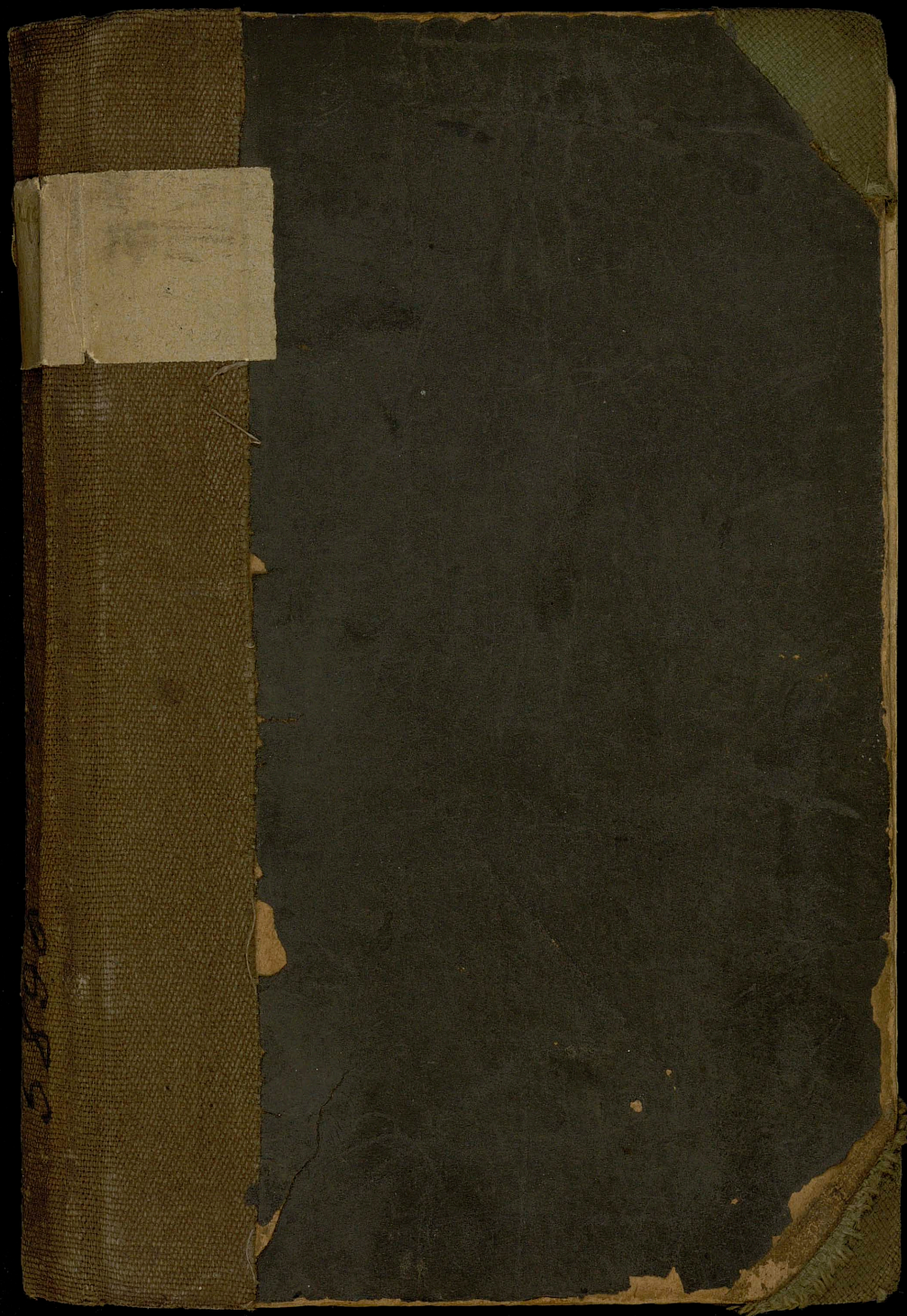




10
12
18

11 2 35



17-68
05 2
16-28

219
WACŁAW SERAFINOWICZ

SZCZĘŚCIE

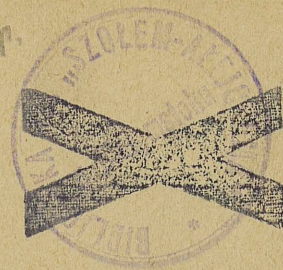


WARSZAWA — 1928
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



CZYTELNIĄ KSIĄŻEK

821.162.1-311.2



SPIS RZECZY:

	Str.
{ Szczęście (opowiadanie pesymistyczne)	7
{ Zemsta Samuraja	21
{ Przyjaźń (studjum o obowiązku)	51
{ Dramat (czyli opowieść o życiu optymistyczna)	79

SZCZĘŚCIE

Wiecie wszyscy jeszcze z dawnych czasów, jak strasznie pragnąłem mieć córkę. Gdy wyjechaliśmy stąd traf zrządził, iż dom, jaki odnajeliśmy z żoną w małym miasteczku, ogrodem swym graniczył z posesją radcy Szweica, zamieszkałego tutaj z małżonką i siedmioletnią córeczką.

Ilekoć schodziłem do ogrodu, bądź też odpoczywałem na werandzie, przez luźne pręty ogrodzenia widziałem zawsze małą dziewczynkę, bawiącą się w złotym piasku, który z tej odległości dziwnie harmonizował z kolorem jej sutych loków. Zawsze w rozkosznej mej wyobraźni wierzyłem, iż jeśli mieć będę córkę, posiadać będzie ona takie cudowne, miękkie, złote włosy.

Nie uwierzycie mi nawet, do jakiego stopnia w tym czasie doszły moje pragnienia. Żona moja zaprzyjaźniła się wkrótce z Szweicową. Nie trudno było mi się domyśleć, iż więcej niż o matkę chodziło jej w tym wypadku o córkę; zdaje się, iż obcując z tem małym, ładnym i grzecznym dzieckiem, doznawała jakiegoś ukojenia; ja wprost przeciwnie. Unikałem nie tylko małej Lili, lecz nawet, gdy przy końcu długiej grabowej alei ujrzałem jej matkę, odchodziłem co rychlej, zwracając w inną stronę me oczy. Z radcą wymieniałem za-

ledwie sztuczny ukłon. Doszło do tego, iż przestałem schodzić do ogrodu. Przesiadywałem długie godziny, zamknięty w swym gabinecie i odgraniczony od świata, intensywną pracą starając się zabić w sobie to, co nurtowało we mnie. Lecz i tutaj przekłety śmiech dziecięcy przenikał przez zsunięte story mych okien.

W takich chwilach doznawałem prawie fizycznego bólu. Poznałem wkrótce, iż o ile przedtem pragnienie córki było dla mnie smętnem marzeniem, którem żyć można było długie lata, bez widoków na urzeczywistnienie; teraz brak tego dziecka stał się dla mnie czemś nieznosnym. Nie czułem w sobie pełni życia; miałem wrażenie, iż nie dano mi tego, co mi się z prawa należało. Byłem pokrzywdzony.

Jasną było rzeczą, iż źródła zmiany, jaka dokonała się we mnie należało upatrywać w bliskim sąsiedztwie. Znienawidziłem tych sympatycznych ludzi, znienawidziłem to ich w niczem niewinne mi dziecko, a wkońcu znienawidziłem i siebie samego. To ostatnie wypłynęło z tego, iż myśląc dużo i uczciwie doszedłem do wniosku: że nieszczęście moje, *nieszczęście ludzkie, czerpie źródło ze szczęścia innych, przez zazdrość!*

.....Nie będę wam opisywał, co przeżyłem w tym czasie, sądzę, iż nie potrafilibyście mnie odczuć, tak jak człowiek zdrowy nie potrafi odczuć cierpień kulawego lub ślepeca. Zgodzicie się jednak,

iż ból psychiczny, jakbyście go wy nazwali urojony, bywa przecież często silniejszym od bólu fizycznego.

12 lipca, w drugim roku, tego strasznego pobytu dla mnie w miasteczku, żona moja wyraziła mi swoje przypuszczenie, które wprawilo mię w nieopisany stan dreszczu niepewności. Chwilami chciało mi się krzyczeć ze szczęścia. Wybiegałem wówczas do ogrodu, przyzywałem do siebie małą Lili, karmiłem łakociami i rozpieszczałem do najwyższych granic, śledząc każdy jej szczegół postaci, każdy jej ruch, ton każdy jej głosu. Wyobrażałem sobie, jaką będzie moja córka, gdyż nie wątpiłem ani na chwilę, iż jeśli Bóg ześle już nam to szczęście, będę miał córkę. Patrząc na małą Lili zgadzałem się w duchu wspaniałomyślnie na jej włosy, figurkę, głos i duże niebieskie oczy; ganiłem zbyt szeroki zadarty jej nos i nie zgadzałem się stanowczo na jej za mało wysmukłe i zlekka wykrzywione nóżki. Chwilami jednak przychodziło na mnie zwątpienie. Pochmurniałem wówczas natychmiast, odsuwałem od siebie zdziwione dziecko i jak dawniej biegłem do gabinetu, zamykając się w nim na całe godziny. Żonę moją zamęczałem w tym czasie pytaniami.

Gdy nasz jowialny stary doktor z miasteczka potwierdził wszystko i rozwiął moje obawy, zaczęło się dla mnie jakgdyby nowe, spokojne, szczęśliwe życie. Chodziliśmy z żoną na długie aż

zamejskie spacer, wracając czasem już przy księżycu o nocnej rosie, co się perliła srebrzystym śmiechem na kwiatach dzikich róż, zrywanych przeze mnie w przydrożnych parowach.

Wogóle żonę moją zarzucałem w tym czasie kwiatami i wszystkimi temi najsubtelniejszymi objawami miłości, jakie daje się najczęściej tylko narzeczonej, nie zaś kobiecie już posiadanej, nad którą odniosło się wcześniej ten jakiś śmieszny triumf.

Gdy teraz zastanawiam się nad całym tym okresem, sądzę, iż był to czas, w którym mą żonę kochałem najmocniej, najszczerzej i najpiękniej. Jestem przekonany, iż zdawała sobie z tego sprawę.

Tak... Nie mając tej świadomości, nie mógłbym dziś mówić wam o tem z takim spokojem; nie mógłbym nawet myśleć o tem, iż ostatnie miesiące życia mej żony, mąciły jakieś smutki czy niepokoje.

Żona moja umarła w dniu przyjscia na świat mej córki...

...Dała mi to, co mogła dać najwięcej. Dała mi czystą i piękną swą miłość, i dała mi to dziecko, które pragnąłem mieć tak strasznie... W ostatnich chwilach była przytomna; nie czuła bólów... konała szczęśliwa. Dotąd czuję w mej dłoni ostatni jej uścisk i widzę jak na jawie jej dobrą kochaną twarz i jej bledziutkie usta, ostatni pocałunek kładące na głowę dziecka...

...Ciekawi jesteście uczuć jakich doznawałem w tym czasie? O byłoby mi to nazbyt trudno wyrazić. Jeżeli potrafię się streścić i spojrzeć na to wszystko obiektywnie, to w tych strasznych dla mnie chwilach prowadziłem z sobą jakąś walkę. Miałem w swej duszy tytanów przeciwieństwa, którzy godzili we mnie całym mym bólem i tęsknotą za żoną, jedyną kochaną kobietą, która odeszła mię tak rychło i w chwili tak radosnej. Jednakże z walki wyszedłem zwycięsko. Poczucie, iż nie mogę ani fizycznie, ani co ważniejsza psychicznie upaść na siłach, iż siły moje potrzebne są temu dziecku, które ona zostawiła mi w puściźnie, było dla mnie impulsem do walki z sobą samym i pozwoliło mi zwycięsko powrócić do równowagi. Cały mój ból i żal za żoną, przetopilem w miłość do córki, która stała się dla mnie wszystkim, która wzrastając nietylko nie odgraniczała się od mej świadomości, lecz przeciwnie, wypełniała sobą wszystkie moje myśli. Dobro i szczęście mego dziecka, był to jedyny kąt widzenia, jakim patrzałem wówczas na świat.

Miała już lat sześć. Była wysmukłą; miała cudowne, jasne, niebieskie oczy; filigranowy cienki nosek, tak rzadko spotykany u dzieci i cudowne, te cudowne złote loki, o których marzyłem tak zawsze. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż to matka gdzieś tam w górze u Boga, wyprosiła dla

mnie ten kolor włosów dla córki, który w miarę jak wzrastała przybierał coraz to piękniejsze, coraz bardziej gorące odcienie. Dom mój, w którym mieszkalem ciągle, był teraz pełen jasnego śmiechu dziecka, a w ogrodzie mogłem się delektować kontrastem cudowniej mej córki i córki radcostwa, która wyrósłszy, zbrzydła znacznie, stając się smutną, szarą, anemiczną panienką.

Straciłem żonę; nie miałem przyjaciół; żadnego towarzystwa, a jednak nie czułem się sam i było mi bardzo dobrze.

Powiecie, iż nie wymagałem wiele od życia?...

Nie zgodzę się z wami. Życiu mojemu zakreśliłem zbyt może szczupłe ramy, ale z tych ram starałem się wyciągnąć wszystko, maximum tego, co dać mi one mogły. Przytem... mój Boże, szczęścia nie da się mierzyć jedną miarą; to, koło czego wy przeszlibyście względnie obojętnie, dla mnie stanowiło cel życia i naodwrot.

Zechciejcie więc teraz, zechciejcie na tej podstawie, o ile naturalnie nie przekracza to waszych możliwości, wyobrazić sobie fakt następujący:

Córka moja umarła!...

...Ależ cóż znowu!... Nie potrzebujecie milczeć; nie żądam współczucia. Wasze tendencje są mi wstrętne. Współczucie jak wszystko nie przechodzi za pewne ogólne ramy i nie wchodzi w inne, które tylko sam człowiek stwarza sobie.

Ciekawi was jak zachowywałem się na pogrzebie? Ach zapewne! Zresztą to rzecz błaha. W tym względzie ludzie podzielić się dadzą na dwie kategorie: Jedni płaczący i spazmujący; drudzy milczący, jacyś zacięci w sobie, czasem w tragiźmie swym unicestwieni, rzadziej niebezpieczni.

Należałem do tych drugich i do tych ostatnich. Nie znajdowałem się na pogrzebie i zresztą, że się tak stało, stało się lepiej.

Gdy na mych rękach czułem stygnące ciało mej córki; gdy straszna świadomość, że już nikt, nikt! i nie! nie wydrze jej dla mnie od śmierci, uprzytomniła się w mej głowie; czułem tylko jedno, nie, wyrażam się źle, nie czułem, ale wiedziałem na pewno, iż zwłoki mojego dziecka do ostatniej chwili mieć muszę przy sobie. Patrzeć na nie; dotykać się tych sztywnych rąk; tego zimnego ciała i dopiero później, później! gdy ciało rozkładać się pocznie, gdy nabierze miękkości właściwych glinie, gdy samo niejako w ten sposób o grób się upomni; wtedy dopiero prawo mieć będę i tylko ja, na miłosierdzie Boskie tylko ja! zanieść ją własnoręcznie na cmentarz, bez żadnych świadków! Bez żadnej pomocy, wykopać grób, wybrawszy ziemię rękami i ułożywszy me dziecko; ostrożnie, rozumiecie przecież: delikatnie, grudka po grudce przykryć ją, i to lekko, by żadnego nie było ucisku, by żadnego nie było kamyka, by ogrodzenie wbite było zdaleka!

by nikt nie chodził, by było pusto i cicho. Przecież to konieczne!

Nie trwóście się. Przecież dzisiaj zupełnie już jestem spokojny. Dzisiaj już jestem w stanie za tamto wybaczyć wszystkim. Dziś jestem zdrowy. Wybaczyłem nawet: Rusiniakowi!

Jak to nie znacie Rusiniaka?

Ach no prawda, przecież wy mogliście nie wiedzieć tego. Opowiem wam kim był Rusiniak:

Rusiniak był tym, kogo zawołała wtedy moja służąca.

Rusiniak był tym, który, gdy zemdlałem, wyjął mi z rąk me dziecko. Rozumiecie!... moje dziecko wziął w te swoje owłosione, chamskie, grube łapy o sinych, obgryzanych paznokciach. On w te ręce wziął moje dziecko, tak jakby nigdy nic, jakby to tak można!... Mało tego:

To Rusiniak starał się dla niej o trumnę!

Rusiniak ją tam układał! No tak, wkładał poprostu, byle jak!

Rusiniak zabijał trumnę. — Słyszycie, zabijał młotkiem i gwoździami!

On ją wioził po bruku — po tym naszym kamienistym bruku! To nie wszystko:

On sam spuszczał trumnę do dołu! On sam spadłem, słyszycie, rydłem! rzucił ziemię. On uklepywał ją nogami, nogami, na miłosierdzie Boskie uklepywał ziemię!...

Myślicie może, że nie wiem jak to robił? My-

ślicie może, dlatego, że mnie tam nie było?... O mylicie się bardzo. Ja już na drugi dzień, jak oprzytomniałem, wiedziałem wszystko. Ja potrafiłem być podstępny. Nawet głos mi nie drżał, gdy się pytałem służącej. Gdybyście mnie wtedy słyszeli, sądzilibyście iż słucham rzeczy zupełnie o b o j e t n y c h. A ja cały byłem wtedy słuchem! A ja z całym wtedy wyrafinowaniem pytałem: „Co Rusiniak robił tam na grobie po pogrzebie?”

A ona powiedziała: „Nic, poszedł na obiad”.

Na obiad?... Dobrze. — Jakiś czas nie pytałem o nic, umyślnie dla niepoznaki. Musiałem poczekać. Po pauzie pytałem:

A o której grabarzowa obiad robi!?

— O trzeciej.

Ha, coś zawyło we mnie! O trzeciej! A pogrzeb był też o trzeciej? Więc on się spieszył! Spieszył!! Nie przeczcie, spieszył się ten Rusiniak!

Wiedziałem już, że muszę wstać z łóżka i iść do niego. Wiedziałem już, że go zabiję! Czekałem tylko, aż wyjdzie Marjanna, by nie śledziła mnie czasem. Ale ona siedziała, ona nie wyszła, ona zawołała doktora, ona i ten doktor nie chcieli mnie puścić, choć ich o to błagałem, choć całowałem po nogach! choć płakałem; a gdy zacząłem ich wkońcu siłą odpychać od siebie, bić, bo mnie do tego doprowadzili; to powiedzieli, że mam rozstrój nerwowy — omal mnie nie zrobili warjatem. I co?... Trzymali mnie rok w lecznicy, ha



ha! leczyli. Po roku powiedzieli, że jestem zdrow a mnie nie było ani gorzej, ani lepiej! Mnie jedna rzecz mogła pomóc: — Rusiniak!

Zacząłem go szukać. Przyjechałem do miasteczka. Kupiłem rewolwer, kule. Poszedłem do niego: „Wyprowadził się“.

Ha, nie dałem się zbić z tropu; sam przeszukałem mieszkanie; sam musiałem sprawdzić... Mieli rację, ale to nic; zacząłem pytać:

— Gdzie?

— Nie wiadomo.

— A kto wie?

— Nie wiadomo, może w ratuszu.

Byłem w ratuszu. Powiedzieli tyle co nic: „Wyjechał do stolicy“.

Wyjechałem do stolicy. Przeszukałem wszystkie zakłady pogrzebowe; przejrzałem mordy wszystkich grabarzy! — może się gdzie zataił...

...Przebiegałem drogę wszystkim pogrzebom, rozpychałem ludzi, księży!... Siedziałem kilka razy w areszcie ale to nic. Żyłem złością. Jeszcze szukałem i żyłem, ale czułem, że muszę się spieszyć, bo złością żyje się szybko. — Mogłem nie zdążyć! Znowu zaczęto mówić, że jestem chory. Dawali mi lekarstwa, choć ja mówiłem, mówiłem jawnie! czego mi potrzeba — chciałem od nich adresu, tylko adresu tego Rusiniaka!

Aż wkońcu, gdy już goniłem resztkami sił, wracając z jednego cmentarza a idąc na drugi; z za rogu ulicy patrzę — karawan... Jedzie powoli, nogą za nogą... a ja cichutko, jakgdyby nigdy nic, naprzeciw niego... Patrzę, ani krzyża, ani księdza, wogóle nikogo ani przed, ani za trumną; nie trumną właściwie, trumienką. Jakieś dziecko. Podniosłem wzrok na karawaniarza:

— Rusiniak! Ha! ha!! Nie uwierzycie, Rusiniak sam jeden, trzyma lejce, bat, jedzie i płacze, nie płacze, beczy jak smarkacz!

Wiedziałem, że miał tylko jedno dziecko!

Szedłem umyślnie z boku, potraçałem ludzi, nie widziałem nikogo i nic! tylko tego Rusiniaka, jednego Rusiniaka!... Ach czułem, że każda jego łza przywraca mi siły, przywraca zdrowie i spokój, którego nie miałem od roku przeszło. Byłem szczęśliwy, zupełnie szczęśliwy!

Cóż się tak na mnie patrzycie... Jestem przecież zupełnie zdrowy. Uniosłem się tylko na chwilę. To było tylko wspomnienie. Mnie to już smucić nie może, bo powiem wam więcej:

— Dzisiejszy spokój mój, dzisiejsze szczęście moje, *szczęście ludzkie rodzi się z świadomości nieszczęścia innych, przez brak miłosierdzia!*

ZEMSTA SAMURAJA

Zwolniwszy biegu i jadąc stępą zalaną słońcem aleją, z uśmiechem patrzyli na siebie, wyrzucając z swych młodych płuc resztki zmęczenia.

Niech hrabia spojrzy — mój Bucefał wraz z trenerem zniknęli poprostu z oczu. Idę o zakład, iż we wszystkich stajniach Berlina nie znajdzie się ani jeden koń, mogący rywalizować z moim.

Burjanow skłonił głowę przed fräulein Elizą. — Nie ośmieliłbym się przeczyć pani w tym względzie, lecz co do poprzedniego pani zdania mam pewne wątpliwości i gdyby pani raczyła tylko zezwolić...

Pan by się odważył?... Poza naszym trenerem nikt nie ośmielił się jeszcze dosiadać Bucefała. Rola Aleksandra Macedońskiego może okazać się dla pana zgubną. — Młoda sportsmenka wybuchnęła krótkim śmiechem, hrabia zaś nie dając zbić się z tropu ciągnął dalej:

Jak tylko dojedziemy do końca tej alei, boczna droga okalać będzie gazon; tamtędy nikt prawie nie jeździ. Pani pozwoli mademoiselle Elise, iż tam zdam przed nią egzamin.

Spojrzeni sobie w oczy z tym wyrazem, z jakim młodzi ludzie różnej płci patrzą na siebie, gdy w duszach ich zobopólna rodzi się sympatja. Je-

chali teraz stępa, nie patrząc już na siebie, lecz pieszcząc wzrok jasną zielenią liści kasztanów, co przeświecając słońcem kołysały się nad ich głowami. Jadący dotąd w tyle siedemnastoletni Otto, syn prezydenta ministrów a brat Elizy, zrównał się z siostrą i hrabią. Burjanow niezbyt był z tego zadowolony. Ten młody, chudy, o długich niezmiernie i wielkich nogach chłopak, zjawiał się zawsze, ilekroć hrabia uważał, iż przyszła nareszcie pora, by w jakiejś bardziej poufnej rozmowie uchylić przed Elizą rąbka, jeśli nie swoich zamiarów, to przynajmniej uczuć. Spojrzał na Elizę. Ta sprytna i złośliwa dwudziestoletnia osóbką, zdawała się czytać w myślach hrabiego. W kątach ust jej lekko pochylonej głowy, ujrzał uśmiezek nic, albo raczej bardzo wiele mówiący. Jak nie podobną zupełnie jest do brata — myślał hrabia Włodzimierz. Kontrast zewnętrzny, zarówno jak wewnętrzny odrazu był widoczny, i jeśli Burjanow rozważał go w tej chwili, czynił to tylko dlatego, iżby w ten sposób niejako mścić się na Ottonie, w stosunkach z którym, jako skromny, niedawno jeszcze gość salonów prezydenta, musiał być pełen udanej sympatji. Dziś pan sekretarz rosyjskiej ambasady zmieniłby na pewno sposób postępowania swego z niemiłym mu Ottonem, gdyby w grę nie wchodziło pewne ale; to ale jechało właśnie obok niego na koniu, zdając się bawić ukrytym w pozorach złym hu-

morem hrabiego. Gdybyśmy byli tylko sami—myślał Burjanow... lecz nagle Eliza podniosła głowę:

— Proszę spojrzeć.

— A rzeczywiście. — W głosie hrabiego znać było wyraźną niechęć. Kjawa-Saki, urzędnik japońskiej ambasady, zmierzał, utkwivszy wzrok w ziemię, tą samą co i jadący aleją. — Może nas nie zauważy?

— Zawołam go.

Nim Burjanow zdołał otworzyć usta, fräulein Eliza przywitała z oddali Japończyka. Kjawa-Saki podniósł nagle oczy. Jakiś czas patrzył na jadących, jakgdyby nie poznając ich. Trwało to jednak tylko chwilę. Szybko uchylił kapelusza, a na usta przywołał pogodny i poprawny uśmiech. Ten uśmiech zdawał się mieć na zawołanie. Gdy pochyliwszy swą żółtą twarz, o bladych wąskich ustach, całował dłoń fräulein Elizy, hrabia zauważył w duchu, iż chyba tylko wrodzona ekscentryczność premierówny kieruje nią przy tak żążyłym stosunku z samurajem. Rywala w Kjawa-Saki, Włodzimierz nie obawiał się, byłoby to poprostu śmieszne. Nie lubił jednak tego z dalekiego wschodu kolegi, chociaż przyznawał, iż Kjawa-Saki był z natury człowiekiem tak miłym, że łatwo mógł wzbudzić sympatję w każdym, kto zetknął się z nim bliżej. Jednakże jego długie rozmowy z fräulein Elizą, poruszające zawsze poważne tematy, zdawały się lekceważyć w pojęciu

hrabiego, ten lekki wrodzony mu flirt, którego, zdaniem Włodzimierza, wymagały poprostu konwenanse. Przytem Burjanow nie lubił oczu młodego Japończyka. Patrzyły one zawsze przenikliwie, jakgdyby starając się czytać w duszy i to czytać nieomylnie. Burjanow nie znosił tego.

Było to tem dziwniejsze, iż przecież on sam całą swoją dotychczasową karierę zawdzięczał temu, że doskonale czytając w cudzych oczach i duszy, umiał wybadać najsłabsze strony charakteru osoby, na której mu zależało. Na tych słabych stronach natury ludzkiej, na źródłach skłonnościach ludzi, z którymi się stykał, Burjanow opierał swoją przyszłość. Umiał on doskonale w odpowiedniej chwili przypodchlebić się komuś, podsunąć jakąś myśl, jakiś projekt korzystny dla siebie, a czynił to wszystko tak sprytnie, że zdołał zawsze ukryć swoją osobistą tendencję. Pozatem Burjanow był gentlemanem i za takiego ogólnie uchodził. Zdaniem bowiem młodego dyplomaty, nie tak cudownie nie popłacało w życiu, jak honor i w niczem tak ślicznie nie można było ukryć swych planów, jak w wszelkich formach towarzyskich i konwenansach.

Jeszcze w początku swej kariery, gdy młody hrabia pracował w Petersburgu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zgrał się był poważnie w karty i zaciągnął dług honorowy. Pan hrabia był człowiekiem nad wyraz słownym. Wziął

więc konieczną mu sumę z kasy rządowej i dług na porę uiścił. Wydania się sprawy Burjanow nie obawiał się. Był przecież człowiekiem honoru; o defraudację nikt nie ośmieliłby się go posądzić, a kasę sprawdzano bardzo rzadko i do tej pory hrabia spodziewał się zabraną sumę wnieść z powrotem.

Atoli jeden z kolegów przypadkowo odkrył całą tę niemłą sprawę. Hrabia zląkł się. Dyskrecji kolegi nie ufał w zupełności. Trzeba było temu jakoś zaradzić. Burjanow nie zasypiał sprawy.

Na pierwszym balu sprowokował swego kolegi i doprowadził do sprzeczki, na tle, ma się rozumieć, erotycznym. W odpowiedniej chwili hrabia poczuł się dostatecznie obrażonym. Jego honor był zadrażniony. Zażądał satysfakcji. Młody kolega nie odmówił; bał się, że w razie rozmazania przez niego sprawy o defraudację przed pojedyńkiem, znaleźliby się tacy, którzy zarzuciliby mu tchórzostwo.

Pojedynek się odbył. Nikt nie słyszał nigdy, by hrabia był dobrym fehmistrzem; nie chwalił się z tem nikomu. Dlatego też świadkowie jego z początku zaniepokojeni, niepomału byli zdziwieni, gdy szpada Burjanowa na wskroś przeszła gardło jego przeciwnika.

Młody człowiek skołał na miejscu, nie wyrzekłszy ni słowa. Burjanow patrząc w jego gasnące

oczy, z powagą uchylił kapelusza. Tajemnicy nie dzielił już z nikim.

Dzięki jednak fatalnemu temu pojedynkowi, hrabia był zmuszony wyjechać z Petersburga. Przyjaciele jego, ludzie honoru, zaofiarowali mu się w tak przykrej sytuacji z pomocą materialną. Uregulował więc swoje sprawy kasowe i wyjechał. Wyjechał do poselstwa w Berlinie i to z nadspodziewanym awansem. Dlaczego?

Ha, mogłaby tylko tutaj powiedzieć coś chyba młoda małżonka Jego Ekscelencji Pana Szefa Departamentu, w którym pracował Burjanow. Kobieta ta, poparciem swoim, zdołała wykupić kilka skromnych, lecz kompromitujących ją sekretników, których jak się okazuje nie przepłacił swojego czasu Burjanow. Interes więc był zobopólny i wysmienity.

W Berlinie obiecujący dyplomata szybko zwrócił na siebie uwagę pana posła, a swoją znajomością z rodziną prezydenta wzbudził poprostu jego podziw. Nie będę chyba w błędzie, jeżeli powiem, że to z kolei stało się powodem, iż pewnego dnia pan ambasador zaprosił prywatnie młodego swego kolegę do domu na podwieczorek. Tam wychwalał go wielce wobec żony, a potem rozmawiał z nim długo sam na sam. Skutkiem tej rozmowy Burjanow otrzymał niezapowiedzianą nominację na sekretarza ambasady. Było to wielkie wyniesienie i zważywszy na młody jeszcze wiek hrabie-

go, nadspodziewane. Co wzamian otrzymał, lub miał otrzymać pan poseł, stanowiło to tajemnicę tylko tych dwóch ludzi.

Awans hrabiego przyniósł mu kolosalne korzyści. Przestał już być w domu p. prezydenta tym, którego toleruje się tylko dzięki ekscentrycznym wybrykom córki. Burjanow nadal pozostał dla fräulein Elizy doskonałym sportsmenem i towarzyszem zabaw, którego bystry, wesoły wzrok powleka się tylko wtedy mgłą zadumy, gdy na jej twarzy spoczywa. Nawet po tem wyniesieniu, nie zdołała młoda panna dopatrzeć się w hrabi karierowiczostwa, którego tak nie znosiła. Za to jej ojciec widział teraz w sympatycznym „panu Włodzimierzu“ człowieka dużych zdolności i zupełnie innem już okiem spoglądał na jego częste wizyty. Może zgadzał się także na sentymentalne spojrzenia, któremi hrabia obrzucał jego córkę... Kto wie?

Przy wybitnej jednak indywidualności fräulein Elizy, ostatnie słowo w tej materji zależało li tylko od niej. Więc może wobec tego pan prezydent miał inne, bardziej politycznej natury zamiary co do „pana Włodzimierza“? Nic pewnego nie można wiedzieć, w każdym razie, gdyby pan prezydent miał takie myśli, to z żalem wielkim, lecz musielibyśmy mu zarzucić naiwność. Na oko jednak wzajemne stosunki wszystkich tych

ludzi układały się tak naturalnie, iż trudno, do-
prawdy trudno byłoby o coś ich podejrzewać.

Gdy przywitawszy się, Japończyk stojąc przy
koniu *fräulein* Elizy nie dawał odpowiedzi na jej
zapytanie, ta żartobliwie zauważyła:

— Pańskie milczenie utwierdza mnie tylko w tem,
co powiedziałam przed chwilą. Tylko pilne ren-
dez-vous z piękną kobietą mogło pana skłonić sa-
muraju, do opuszczenia o tak wczesnej godzinie
miasta i udania się w te strony.

— Pani. Żle jest podobno nie przyznać kobie-
cie racji, lecz w tym wypadku ośmielę się za-
przeczyć.

— Tak! Zaraz przekonamy się o prawdzi-
wosci słów pana. Jeśli to nie randka; jeśli nie czeka na
pana żadna kobieta; wobec tego nie odmówisz
nam pan wspólnego spaceru. Konie prowadzić
będziemy hrabio — zwróciła się do Włodzimie-
rza — a pan, samuraju, rozstrzygniesz zakład, jaki
zawiązał się między mną, a hrabią.

Kjawa-Saki w niskim ukłonie, zwróconym
w stronę Elizy następnie zaś Włodzimierza, przy-
stał na propozycję, ukazując w uśmiechu swe wą-
skie usta.

...Kiedy po dość długim, pieszym spacerze, zna-
leźli się na równej, niebrukowanej drodze, obie-
gającej duży gazon, znajdujący się już tam tre-
ner, na polecenie *fräulein* Elizy podprowadził ko-
nia. Rzeczywiście było to więcej niż piękne zwie-

rzę; szlachetność krwi znać było w każdym ru-
chu; trzymany krótko przy pysku, tańczył w miej-
scu, wykonywując szybkie a elastyczne całem
ciałem ruchy i przebierając długimi, cienkimi
nogami.

Zmęczony trener ponownie dosiadł konia i ob-
jechał gazon prześlicznym długim klusem. Piękne
zwierzę przebiegło całą przestrzeń i zatrzymało
się jak wryte przed grupą patrzących, rozdyma-
jąc nozdrza i rzucając raz po raz śmiałe a dzikie
spojrzenia. Trener zeskoczył z siodła.

— Pozwolisz więc teraz *mademoiselle* Elise, że
przekonam się osobiście jak ten koń niesie; mam
wrażenie, że siedzi się na nim jak w fotelu.

Młoda panna skinęła głową. — Zakład stanął.
Spieszę tylko zaznaczyć jeszcze hrabio, iż koń
ten zrzucił z siebie już dwóch dzokiej. Nawet ja
nie dosiadam go jeszcze, a jeden trener daje so-
bie z nim rady, ale z naszym trenerem nie ze-
chcesz pan chyba rywalizować.

— Mam do tego nieprzepartą chęć pani.

Po twarzy starego ujeżdźacza przemknął pra-
wie niedostrzegalny uśmiech.

— Uprzedzam jeszcze — zawołała *fräulein* Eli-
za, iż jedynie sobie będziesz pan zawdzięczał
ewentualne podrapanie i zniszczenie garderoby.

Burjanow ujął krótko cugle i odwracając się
do młodej kobiety z szacunkiem pochylił głowę.

— *Mademoiselle*. Proszę być pewną, że nie dam się

ani na chwilę powodować temu koniowi, choćby dlatego, iż nie ośmieliłbym się nigdy stanąć wobec pani w pomiętej garderobie. Odstąp — rzucił rozkazująco trenerowi i jednym susem znalazł się na siodle.

— Brawo! brawo! — wykrzyknęła jednocześnie fräulein Eliza i jej brat.

Hrabia triumfował. Dzikie zwierzę przestraszyło się jednak, zarówno okrzyków jak i nagłego skoku hrabiego. Koń zastrzygł uszami i począł podskakiwać, unosząc przednie kopyta i bijąc niemi w ziemię. Kurz podniósł się od tego ruchu, a milczący dotąd młody Japończyk odezwał się spokojnie, z właściwym sobie uśmiechem:

— Hrabio! nie przeczę, że dzielnie dosiadłeś rumaka, lecz obietnica twoja pozostaje czczą. Ubranie twoje jest w porządku, lecz spójrz proszę na nas, na mademoiselle Elise? Rzeczywiście, droga nigdy nie polewana wodą pokryta była cała złotawym pyłem, który błyszczał w słońcu. Koń Burjanowa bijąc kopytami wznosił tumany kurzu, który osiadał na garderobach obecnych, zwłaszcza zaś na sukiennej amazonce fräulein Elizy. Burjanow spostrzegł to.

— Ach! stokrotnie przepraszam! — zawołał, rzucając prawie równocześnie błagalne spojrzenie na fräulein Elizę i przeszywając zimnym wzrokiem młodego Japończyka. — Naprzód! — i w po-

śpiechu wsparł nie tylko łydką, ale i ostrogą ogiera.

Zdenerwowanemu koniowi tego tylko było potrzeba, postanowił zrzucić nieznanego jeźdźcę; wsparł się jeszcze silniej tylnymi nogami, a przednie wyrzucił aż nad głowy patrzących.

Fräulein Eliza wraz z całym towarzystwem cofnęła się o kilka kroków.

— Niech pan hrabia zejdzie, koń nie znosi ostrogi — zawołał trener.

Lecz Burjanow ani myślał o tem. Teraz przynigdy — teraz, kiedy ten wstrętny Japończyk wyrwał się z swoją głupią uwagą, gdy fräulein Eliza cofnęła się w obawie, że on, on nie potrafi powstrzymać tego konia — nigdy! — „Nabok“ — krzyknął na trenera i jednocześnie wpił w bok wierzchowca ostrogę.

Koń stanął dęba. Zdawało się przez jakiś czas, że wraz z jeźdźcem przewróci się na wznak.

— Dosyć! dosyć! wołała śmiejąc się Eliza. — Lecz Burjanowowi nie chodziło o to, by pokazać, iż zdoła utrzymać się w siodle — nie; chciał zapanować nad koniem, uczynić go powolnym swej woli i objechawszy, jak uprzednio trener cały gazon, dopiero zatrzymać się przed Elizą.

Koń wciąż szalał, a jeździec nie dawał za wygraną i bił coraz silniej ostrogami, aż ogier przysiadł na zadzie, stawał dęba, aż z pyska padać mu poczęła białymi płatami piana. Nagle, szyb-

ko jak myśl, koń zmienił sposób skoków: przedniemi nogami zarył się w ziemię, a tylne z całej siły wyrzucił do góry; równocześnie Burjanow straciwszy równowagę, wyleciał w powietrze i siadł na ziemi przodem do konia w odległości kilku kroków.

Pomimo wypadku, widok był tak śmieszny, iż *fräulein* Eliza wybuchnęła śmiechem. *Kjawa-Saki* jednak, obawiając się czy nie nastąpił jakiś wstrząs lub porażenie kręgosłupa, podbiegł szybko.

— Może hrabia wstać? — zapytał, biorąc go pod rękę.

— Mogę — odparł ten, przychodząc do siebie i odsuwając zaofiarowane mu ramię. Podniósł się z ziemi. Rozbieganego konia chwycił trener.

Z bardzo niewyraźną miną zbliżył się Burjanow do *fräulein* Elizy. Eliza dopiero teraz z troszczyła się o zdrowie hrabiego. Jednakże jemu naprawdę nic się nie stało. Nagle idący z tyłu *Japończyk* zawołał ze śmiechem:

— Hrabio! a twoja garderoba? Proszę spojrzeć — to mówiąc, ujął Burjanowa i obracając go zlekka, ukazał Elizie na strzępy podarty rękaw niefortunnego jeźdźcy.

Fräulein Eliza znów wybuchnęła wesołym śmiechem, lecz Burjanowowi krew uderzyła do głowy. Wyrwał ramię z rąk *Japończyka* i zapominając o wszystkim, wymierzył mu policzek.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Poza Elizą i *Otto*-nem jeszcze trener był świadkiem zajścia.

Ale nie o trenera, nie o wszystkich innych świadków chodziło w tej chwili hrabiemu. Oto w pasji na tego mizernego człowieka, który sprowokował go od początku do końca, wymierzył mu policzek przy *fräulein* Elizie, wywołał skandal, który zamknie mu drzwi tego domu. Nie wiedział w pierwszej chwili co czynić, a krew rozsadała mu jeszcze skronie. Nagle usłyszał głos:

— Pozwolisz, że cię pożegnają *mademoiselle* Elise. — Głowa *Japończyka* schyliła się w ukłonie przed młodą kobietą. Teraz oczy samuraja spoczęły na twarzy hrabiego, na usta wystąpił zwykły pół dobroduszny, pół sarkastyczny uśmiech. Skłonił nisko w milczeniu głowę i odszedł.

Burjanow ścigał go wzrokiem.

Teraz z kolei odeszła *fräulein* Eliza wraz z bratem. Zamyślona zmierzała w stronę alei. Burjanow oddał odchodzącej ukłon, którego ta nie spostrzegła, czy nie chciała spostrzec. Nie było już na co czekać; hrabia dosiadł swojego konia i stępą w przeciwną udał się stronę. Lecz gdy już nikt nie mógł go dojrzeć, cała złość, cały bezsilny gniew znów targać poczęły Burjanowem. On tak zawsze przezorny, taki zawsze roztropny, wywołał burdę i naraził się na skandal. Nie wiadomo

dlaczego zdawało mu się, że ten spoliczkowany mały Japończyk triumfował.

Poco ten człowiek uśmiechał się jeszcze do niego. Co miał znaczyć ten napół złośliwy, napół dobroduszny uśmiech, którym Kjava-Saki odpowiedział na jego policzek.

Przez chwilę Burjanow czuł się upokorzony, lecz tylko przez chwilę, gdyż zaraz machnął ręką.

— Dureń — sam sobie winien. — Tu zastanowił się nad tem, kogo prosić na sekundantów, i jak zapobiec, by sprawa nie nabrała rozgłosu. — No, o to postara się już Kjava-Saki — szepnął z uśmiechem prawie głośno i popędził konia.

Tymczasem samuraj Kjava-Saki rojną w tej porze ulicą zmierzał do domu. Był nawet zadowolony, że otacza go ten wielki, gwarny, obcy tłum. Mógł zginąć w tym tłumie i mógł być sam. Spuściwszy wzrok ku ziemi i patrząc niby bezmyślnie na równe kratki chodnika, rozważał cały ten dzień, tak ciężki dlań i dziwny tak jednocześnie. W kątach swych wąskich ust miał ból niezmierny, tak trudny do odczytania dla oczu Europejczyka, tak wielki, tak skrywany wszystkiemi zasobami męskości i dumy ludzi jego kraju. Jego kraju... Och jakby bardzo chciał być tam teraz. Pogodny lazur nieba; jasna tarcza słoneczna, malutkie pola ryżowe, usiane domkami jak z kart; ciepły przewiew wiatru w rękawach kimona i syn

jego, własny syn! bez nadmiaru wylania, pokłonem witający ojca.

W głowie zawirowało samurajowi Kjava-Saki. Toż dziś od rana w kieszeni surduta nosi wiadomość o synu. Toż ta wiadomość wygnała go dzisiaj z domu i błdzić kazała w zapamiętaniu gdzieś tam na kresach, tego obcego miasta. Skryte japońskie serce przeniknął ostry ból, a usta zwarły się jeszcze bardziej. Synu, mój synu! jedyne dziecko moje! czemuś umarł!... I cóż, miałże opowiadać tej obcej czyjejs kobiecie, spotkanej na drodze o swoim nieszczęściu? Nie byłoby to wstrętnem jętrzeniem rany; nie byłoby to głupie i upokarzające jego, jego samuraja! A prztem gdyby nawet było inaczej, czyż miał prawo swojemi zmartwieniami, nieszczęściem swoim psuć chwilę komuś, kto żyje bez troski. Wszak nie odważyłby się na ten nietakt tam nawet u siebie w ojczyźnie... Prosiła go, by rozstrzygał jakiś zakład, prosiła go o to, obcego kraju kobieta, czyż miał więc prawo nie przystać, nie być grzecznym. A jednak? tu ludzie jacyś dziwni byli, śmieszni i fałszywi. Ileż razy patrzył z pogardą na ich bezsilność w cierpieniu, ileż razy przerażał go u nich zupełny brak taktu. Starał się ich zrozumieć, starał się, nie zatraciwszy zasadniczych pierwiastków japońskiej swej duszy, zgłębić psychikę tej całej białej rasy i nie mógł — nie mógł może jako Japończyk. Czuł tylko to, iż ten cały

olbrzymi gmach kultury, jaki wzniesli, na kruchych oparłach podstawach, tak, iż runąć może, przegniatając sobą ich samych. I miał dla nich pogardę. Nie przewidział jednego tylko samuraja Kjawa-Saki, nie przewidział tego, iż jemu samemu, jemu jako Japończykowi, jako człowiekowi innej rasy, błąkać się jest w tym gmachu niebezpiecznie. Teraz przekonał się, iż wchodząc w drzwi, tego obcego, wrogiego sobie pałacu, za małą przywdział maskę, za mało był skryty w sobie, pomimo tutaj przyjętej opinii. Przypomniał sobie zajście z Burjanowem i pańskim ruchem machnął ręką:

— „Dzikie zwierzę“ — wyszeptał z pogardą i uśmiechnął się na sobie jedynie właściwy, dziwny sposób.

Jako oficer japońskiego wywiadu, jakim Kjawa-Saki był tutaj skrycie, rozumiał każdą walkę i sam niejednokrotnie nie przebierał w środkach, gdy o jego chodziło ojczyznę. Ale prywatnie?...

Samuraj znowu uśmiechnął się nienawistnie, lecz i z wyższością.

— — — — —
Dlaczego on się jeszcze uśmiechał, raz setny pytał się siebie hrabia, czekając w domu na sekundantów samuraja. Wkońcu i on machnął ręką. Całe to zajście poczęło się przedstawiać Włodzimierzowi w nieco jaśniejszych kolorach. Do-

szedł do wniosku, iż cała ta głupia burda, tak nie licująca z jego przezornym charakterem, nie przecięła w zupełności stosunków, wiążących go z fräulein Elizą. Niezainteresowanych świadków zajścia nie było. W interesie wszystkich leżało, by sprawa nie stała się głośną. Eliza, jeżeli tylko zdoła się umiejętnie jej wytłomaczyć, przebaczy mu wszystko. Sama przecież była zawołaną sportsmenką i powinna zrozumieć, jak boleśnie został zadrażniony w swej ambicji. Tak, tak, nie należało zbyt czarno patrzeć na rzeczy. Burjanow wybiegł na chwilę z domu; kupił piękny kosz kwiatów i dołączając do niego list pełen pokory i skruchy z powodu swego karygodnego zachowania się, usprawiedliwiając swój gniew — pisał:

— Wina moja jest wielka. W uniesieniu pozwoliłem się w obecności pani powodować porywem gniewu, który musiał wywołać w niej niesmak. Jednakże zechce pani wziąć pod uwagę skruchę, z jaką piszę te słowa. Przytem zostałem sprowokowany; broniłem swej ambicji, którą pan Kjawa-Saki usiłował poniżyć. Jestem zawsze gotów udzielić samurajowi wszelkiej, najdalej idącej satysfakcji z bronią w rękę.

W tej chwili zależy mi tylko na tem, by w oczach pani mademoiselle Elise być choć w części zrozumianym i usprawiedliwionym.

List został natychmiast wysłany, a hrabia poczuł, że mu się odrazu lżej zrobiło na sercu. Liczył

też jeszcze na to, że obok oburzenia na Japończyka, jakie zrodzić powinien w sercu Elizy list jego, końcowym swym zwrotem zaniepokoi młodą kobietę. Burjanow może przecież zginąć.

Tu hrabia uśmiechnął się... On, który szampana otwierał z pistoletu, on, który tak zręcznie zamknął usta Warachowa. — Wesołe. Ale Eliza nie wiedziała przecież o tem wszystkim.

Do południa Burjanow siedząc w wygodnym fotelu, snuł swoje plany, pogrążony w obłokach tytoniowego dymu. Po obiedzie jednak począł się zlekka niecierpliwić. Sekundanci Japończyka nie przychodzili. Usiadł przy oknie. Minęła jedna godzina, druga, a ich jak nie było widać, tak nie było. Godziny dłużyły się okropnie. Hrabia co jakiś czas nastawiał ucha, gdyż zdawało mu się, że na schodach słyszy czyjeś kroki. Na ulicach zapłonęły latarnie. Począł padać lekki deszcz. Światła gazowych lamp, osnute w jasne obłoki, jakimś mdławo ciepłym blaskiem zalewały ulicę. Burjanow wyglądał przez szybę. Skoro tylko jakichś dwóch ludzi zbliżało się z drugiej strony trotuaru, hrabia mimowoli zapytywał siebie: A może to oni. Lecz do mieszkania nikt nie dzwonił. Burjanow odszedł od okna. Jakiś czas nie mógł znaleźć sobie miejsca; w godzinach tych nigdy nie był w domu. Postanowił coś robić. Wziął książkę z biurka, lecz po chwili rzucił ją z powrotem, usiadł i zamyślił się tępo. Elektryczna biurkowa

lampa z zielonym kloszem, zgniliła barwą znaczyła się na blacie stołu i na najbliższych stojących meblach; reszta gabinetu tonęła w półmroku. Zegar na kominku cykał miarowo, a hrabiemu zdało się, że we wszystkich kątach pokoju coś zacząłło się i czyha i czeka tylko hasła zegaru, by wypełznąć ku niemu. Wzdrygnął się mimowoli.

Byleby tylko nie usłyszeć jak ten zegar uderzy. Podszedł szybko ku drzwiom, otworzył je i przekręciwszy kontakt zapalił elektryczność w salonie.

Kiedy zamykał drzwi do gabinetu, usłyszał miarowe uderzenie zegara. Przekręcił klucz w zamku; obszedł cały salon i pozapalał wszystkie lampy, jakie w nim były — potrzebował światła; uczyniwszy je, usiadł na kanapce. Zrobiło mu się jakoś lżej. Lubił ten pokój, lubił ten jasny modernistyczny styl mebli, wesoły i wytworny. Ze ścian patrzyły na niego filigranowe postacie pastelowych dam — powiewne, słodko uśmiechnięte. W całym umeblowaniu znać było blichtr, ale blichtrzem przecież żył hrabia. Poważny jego gabinet stał zawsze pusty; od czasu tylko do czasu, gdy Włodzimierz przyjmował kogoś z poważniejszego świata, lub kogoś ze swych podwładnych, zasiadał w tym gabinecie, chcąc nadać sobie niejako senatorską pozę. Teraz jednak nie wróciłby już do tego pokoju. — Dlaczego?

Czuł się dziwnie zdenerwowanym. Dotąd nie

zdarzyło mu się to jeszcze nigdy, przeciwnie, drwił z podobnych nastroi, ale teraz, poprostu nie do uwierzenia, sądził, że z chwilą gdyby wszedł do gabinetu, z mrocznego kąta pokoju wypełznąłaby do niego uśmiechnięta twarz Japończyka.

— Czego on się uśmiechał?

Hrabia nie znalazł na to odpowiedzi. Zapalił papierosa i zapatrzył się w kanarkowy abażur lampy, który wesołym ciepłym światłem zalewał pokój, a ogień na jego papierosie zmieniał w jakąś złotą śliczną kulkę. Lecz stopniowo wzrok hrabiego nużyć się począł. Poczuł jakąś wielką pustkę i obcość, uczuł się nagle obcym w tym pokoju, który tak lubił, więcej! uczuł się obcym nawet przed samym sobą.

— Co to jest? — Kształty mebli i obić wydały mu się jakieś inne, jakby dopiero pierwszy raz je ujrzał. Z uwagą począł obserwować swoje palce. Doprowadziło go to do tego stopnia zdenerwowania, że wstał, a ręką przeciągnął po czole. — Jestem silnie zdenerwowany — wyszeptał. Była 11-sta. — Nie miał już dzisiaj na kogo czekać; nałożył palto i wyszedł. Przekręcając klucz w zamku, pomyślał sobie:

— Jednakże nie miło jest tak samemu mieszkać, trzeba wyszukać sobie na jakiś dłuższy czas damę serca; samotność najwidoczniej denerwuje mnie.

Wyszedł na ulicę; zawołał dorożkę i zapragnąwszy widoku ludzi, rzucił:

— Klub „Imperjal“ — nie był tam już od paru dni. Ruch uspokoił go. Z pod nastawionej ceraty powozu widział oświetlone kawiarnie; szykowni młodzi ludzie szybko wchodzili i wychodzili.

Do uszu Włodzimierza dolatywały dźwięki kawiarnianych orkiestr. — Trzeba będzie dzisiaj rozerwać się wieczorem, gdzieś w gabinecie — pomyślał i wysiadł z dorożki.

Wbiegł po jasno oświetlonych schodach; zdjął palto i nie patrząc nawet, rzucił lokajowi banknot. W drzwiach natknął się na Iljanowa; przywitał go z uśmiechem i bardzo serdecznie. To zdarzyło się chyba pierwszy raz. Iljanow był skromnym urzędnikiem ambasady, a hrabia wobec tego rodzaju ludzi, nigdy nie zapominał ani o swym tytule, ani o swym stanowisku. Teraz jednak nie zwrócił na to uwagi.

W pierwszej zaraz sali zasiadł do gry. Portfel położył przed sobą i spojrzawszy na dość pokaźną garść złota na stole, uderzył *va banque*.

Gra ożywiła się wkrótce. Burjanow wygrywał. Pochłonięty kartami nie zauważył nawet, gdy do stolika zbliżył się niejaki M'ersai, człowiek starszy, zniszczony nadmiernem użyciem, o wstrętnej twarzy opoja, ze zwisającą bezwładnie dolną wargą. W obliczu tego człowieka była jednakże jedna rzecz wzbudzająca zainteresowanie: Oto Gaskończyk, pomimo całego swego zepsucia, zachował mądry, śmiały wzrok; dzięki temu spoj-

zeniu, twarz jego nie była w zupełności odrażająca.

Gdy Burjanow podniósł oczy z nad kart, M'ersai siedział już przy stoliku. Hrabia pomimowoli skrzywił się; tego człowieka spotykał wszędzie, znajdował go tam, gdzie go nie posiano. M'ersai był nad wyraz złośliwym i często szukającym zaczepki. Jego docinków bano się ogólnie, a przede wszystkim bali się ich ludzie tego pokroju co Burjanow. M'ersai, aczkolwiek sam człowiek niegdyś bardzo bogaty, nie starał się zachować nawet pozorów dawnego majątku i urodzenia. Lekcewał wszelki blichtr i drwił z niego, doskonale umiejąc go podpatrzeć u innych.

— Najniższy sługa Jego Ekscelencji — odezwał się brzęczącym, przepitym głosem, w odpowiedzi na grymas Burjanowa.

— Dobry wieczór — trzymam bank — 2.600 mk... proszę.

— Z grubsza widzę gramy, z grubsza — wyjmując wyłudzone napewno od kogoś pieniądze, odparł M'ersai.

— Pan ryzykuje? — z uśmiechem spytał Burjanow.

— Z zupełnym spokojem panie hrabio, ze spokojem.

— Tak pan akcentujesz ten spokój panie M'ersai, jakbyś chciał go odmówić hrabiemu — wtrącił baron Fintenserw, urzędnik ministerstwa.

— Broń Boże! — nie odmawiam go w zupełności, mówię tylko to, co widzę narazie.

— To znaczy?

— Znaczą, że hrabia jest pomimo pozorów zemocjonowany.

— Wysunąć zarzut, iż gra mnie emocjonuje, pan pierwszy się ośmiela.

M'ersai zachichotał zcicha: — tem gorzej dla mnie; zresztą proszę o łaskę, chcę się wytłomaczyć; nie mówiłem, że gra emocjonuje hrabiego.

— O niczem innem nie było tu przecież mowy.

— Nie przerywajmy gry! Dalej panowie! dalej! — odezwało się kilka głosów.

— Dalej! nie przerywajmy gry — podchwycił M'ersai i rzucając banknot na stół, nachylił się do ucha hrabiego: — Mówiąc o emocji, miałem na myśli wypadek z samurajem.

Burjanowowi karta wypadła z ręki; skąd on wie, przemknęło mu przez głowę, rozgada wszystko ten pijak. Na mgnienie oka, na twarz hrabiego wystąpiło uczucie rozpacz. M'ersai podchwycił ten moment:

— Ha — ...zapytał, patrząc mu w oczy.

Hrabia zachnął się. — Mniejsza z tem, grajmy dalej.

— Doskonale. „Mniejsza z tem, grajmy dalej“ ha ha ha!... I grali. Bank obiegał stół, a Burjanow wygrywał ciągle. Przestał już wycofywać pieniądze z banku, sprzedawał go i kupował

w najniekorzystniejszych dla siebie warunkach. Ale szczęście jak na złość sprzyjało mu ciągle; nie myślał już o kartach, chciał stąd wyjść jak najprędzej, porozumieć się sam na sam z M'ersaiem, zaofiarować mu znaczniejszą pożyczkę, byle milczał, byle milczał narazie, chociaż dopóki on nie porozumie się z Elizą, nie wytłumaczy sprawy ambasadorowi; ach ambasador... Był prawie zrozpaczony.

M'ersai przegrał wszystkie pieniądze i wstał od stołu. Burjanow go zatrzymał.

— Proszę pana — rzekł, zanurzając rękę w banknoty — mogę służyć panu pożyczką.

Ta obcesowa forma w stosunku do Gaskończyka nie zdziwiła nikogo. M'ersai nie przestrzegał żadnych form, a pożyczki zaciągał jak najskwapliwiej.

— Najserdeczniej dziękuję, lecz nie skorzystam — nadspodziewanie odparł Gaskończyk, kłaniając się nisko.

Wówczas Burjanow szepnął mu do ucha: — Proszę bardzo pana, by pan choć chwilę na mnie zaczekał; chciałbym wyjść razem z panem.

— Do usług.

Hrabia grał dalej i przeklinał swe szczęście. Jeżeli nawet przegrał trochę, odgrywał się zaraz w dwójnasób. M'ersai pił tymczasem przy sąsiednim stoliku, na czyjś rachunek, a gdy już krew wystąpiła mu na jakgdyby napuchłe policzki, za-

palil papierosa i paląc uważnie obserwował grających.

Wtem Burjanow przerwał grę, a twarz powlekła mu się trupią bladością. Z poręczy klubowego krzesła, obitej ciemnym adamaszkiem wyjrzała ku niemu żółto-szara twarz Japończyka.

Przenikliwe oczy spojrzały głęboko, a na wąskich, bladych ustach pojawił się zagadkowy uśmiech. Głowa zgięła się w ukłonie i znikła.

— Co panu jest? — zawołał baron Fintenserw.

— Nic... już przeszło! — odparł Burjanow, kładąc rękę na sercu, które waliło mu jeszcze jak młotem.

Powoli uspokajał się. Dając kartę, pomyślał: byle tylko M'ersai nie uciekł mi z tajemnicą. Lecz temu nawet to na myśl nie przyszło, przeciwnie, było mu tu bardzo dobrze; nie próbował się nawet poruszyć w fotelu. Nogi po wypitym trunku ciążyły mu ogromnie, a w głowie szumiało. Z za przymkniętych powiek obserwował hrabiego i delektował się jego emocją.

Nagle w drzwiach pojawił się lokaj; cicho na palcach przeszedł salę i zbliżył się do grających.

— Najmocniej przepraszam pana hrabiego, że ośmielał się przeszkadzać, ale polecono mi to natychmiast doręczyć.

— List! — zrywając się, zbyt może gwałtownie, zakrzyknął Burjanow.

— Nie, paczka; polecono mi ją natychmiast doręczyć.

Na twarz młodego dyplomaty wystąpiło zdziwienie. Zaciekawieni gracze skupili się dokoła. Burjanow szybko rozerwał sznurek i odwinął paczkę z papieru. Lecz jeszcze większe zdumienie wypłynęło na jego oblicze; w rękę trzymał długą, dość ciężką z japońskiej laki szkatułkę, malowaną w kwiaty lotosu.

— Kwiat lotosu, szczęście — odezwał się ktoś z obecnych. Hrabia chciał podnieść pokrywę, była zamknięta.

— Tu jest kluczyk.

Burjanow włożył go do małego zamku, i przechyliwszy puszkę przekreślił. Nagle! poczuł, że coś ciepłego ścieka mu po palcach.

— Krew!

— Krew ścieka na stół! — krzyknął ktoś przestraszony.

Z otwartego pudełka wypadł długi, po rękę — jeść czerwony sztylet!

— Co to jest!? — wrzasnął Burjanow do lokaja, a ręce trzęsły mu się jak w febrze.

— Zaraz! — rozległ się głos od stolika — jest i list.

Pijany M'ersai chwiejnym krokiem przybliżył się do stołu. Za sztyletem wypadła rzeczywiście zbrukana krwią koperta. M'ersai wziął ją do ręki,

lecz hrabia wyrwał mu ją i rozerwawszy szybko, począł czytać:

— Do Jego Ekscelencji hrabiego Włodzimierza Iwanowicza Burjanowa!

Hrabio! Byłeś łaskaw dziś rano w obecności córki prezydenta, mademoiselle Elise i jej brata Ottona, wymierzyć mi policzek *niesłusznie*. Samuraj Kjava-Saki nie może znieść takiej obelgi... Tu głos załamał się Burjanowowi.

— Dawaj! — krzyknął M'ersai i wyrwawszy czytał dalej:

— Samuraj Kjava-Saki, w poczuciu powinności obrony swego honoru, nie znajduje innego oczyszczenia się z hańby, jaką mu pan zadałeś — jak przez śmierć! Hrabio! racz przyjąć sztylet, którym przed chwilą zrobiłem sobie harakiri.

M'ersai skończył i odsunął się; równocześnie wszyscy, jakby powodowani nagle jednym i tem samem uczuciem, cofnęli się krok w tył. Burjanow stał jak skamieniały. Nagle podbiegł do stołu i schwyciwszy ociekający krwią sztylet, wpił w niego oczy...

...Patrzył i nie wierzył, że to prawda, że to możliwe. Twarz jego zsiniała, oczy nabiegły mu krwią, na usta wystąpiła piana. — Zemścił się, zemścił się — zasyczał przez kurczowo zaciśnięte zęby.

Tak, rzeczywiście zemścił się samuraj Kjava-Saki; znalazł inną, stokroć straszniejszą, stokroć

silniejszą broń, od broni hrabiego. Cieniem straszego smoka, położył się na drodze życia Burjanowa. Teraz w tej chwili nikt! nikt! z tych ludzi nie poda mu ręki.

Wtem pijany M'ersai postąpił krok naprzód, w rękę trzymał kielich szampana, wśród ogromnej ciszy zawołał:

— Vive la civilisation et vive L'Europe!

.....A z japońskiego sztyletu na stolik zielony, spływała krew czerwona, zalewając sobą rozrzucone banknoty i karty.

PRZYJAŹŃ

...,Albowiem my, my dopiero ocenić umiemy przyjaźń, bo my znamy tylko tę czystą i wielką moc uczucia, zdolnego do największej bezinteresownej ofiary krwi — my wojskowi.

Niema w przyjaźni dreszczu niepewności; nie istnieje zazdrość, niema uzależnienia od formy zewnętrznej, bo niema w nas ram dla poświęcenia, jest tylko granica honoru i powinność; jest w nas otwarta silna męska dusza... Dlatego ze spokojem patrzymy w jasne oczy przyjaźni, dlatego węzły, które ona zaciśnie, cenimy stokrotnie więcej od przelotnych miłości, powstałych na bruku miejskim — w wytwornych salonach, kawiarniach. — My, oficerowie na froncie.

Przyjaźń!... Złudnym płomykiem jest przy niej ciepło ogniska domowego, a żarem piekielnym, płomieniem, co spala na popiół, jest miłość zaborcza pięknej kobiety. Przyjaźń żołnierska, to życiodajny snop światła słonecznego — piękny, zdrowy i wieczny...

Ten kielich w ręce wasze, przyjaciele!“...

— Wiwat! wiwat kapitan! wiwat Żarnawa!

Kielichy do dna, a potem brzęk szkła tłuczonego odpowiedziały na toast.

Kochany kapitan. Patrzałem z rozrzewnieniem w jego mądre, siwe oczy i myślałem o pięknym, szumnym jego życiu. Pół wieku już przeżył, włos srebrnym pasmem okalał mu skronie, a jednak tężyzną był równy nam wszystkim, górował nad nami rozumem i humorem.

Kochany przyjaciel. O! ileż prawdy było w jego słowach, ile niezbitej racji. Dwie blizny po niebezpiecznych ranach nosiłem na swem ciele, a jednak wspominałem je dzisiaj ze spokojem, dumny, i prawie wesół. Inna mię piekła rana, dawna, a nie zagojona; tępy, a długi ból chwycił mię zawsze za serce ilekroć byłem sam, ilekroć sam jeden w ziemiance, przy blasku woskowej świecy w zadumie schylałem utrudzone czoło... Dlaczego? dlaczego wzgardziła mną tak łatwo, zdeptała moje uczucia dla głupiej lalki. Jej piękne szafirowe oczy, z za ciemnej rzęs firanki, patrzyły zawsze na mnie, pomimo wiorst tysiąca i niezmierzonej dali...

Jak kłamią, jak strasznie kłamią oczy kobiety.

— Kochany Żarnawa! Ilekroć obróci na mnie swój zimny na pozór wzrok, tylekroć czuję, że czerw toczący me serce, kryje się przygnieciony gdzieś na dnie duszy popiołach. O jakże wiele miał racji! Oto niedalej jak tydzień temu, odcięty od armji, zamknięty w opłotkach, ostatkiem sił samopiąt, broniłem się beznadziejnie. Pozycja była dla nas ważna, lecz teraz stracona.

I nagle na drodze zamajaczyło coś w złotym pyle, zadudniły koła, odzew podała ziemia — baterja stanęła.

Wiwat Żarnawa! On jeden to uczynił, on jeden wśród gradu kul przybiegł potrząsnąć mą dłonią — oznajmić przybycie piechoty.

...Patrzałem teraz w jego siwe oczy. Kielichy krążyły coraz gęściej dokoła, a z winem wraz, radość spływała nam do duszy, beztroska żołnierska. Wiejska, prosta chata napelniła się gwarem głosów naszych. — Wielkanoc na froncie...

W tę noc przysięgliśmy sobie braterstwo aż do końca, my oficerowie brygady...

Wybiła północ. Nie opuszczając izby, skupieni po kątach grupkami, gwarzyliśmy przyjacielsko, stare wspominając dzieje, na nowe czerpiąc podniety. Tyle lat, tyle lat. Stopniały nasze szeregi, przybyło mogił nieznanych, ubyło ramion do pracy, ochoty jeno nie zbrakło. I przyszła na mnie taka godzina, rzadka tak dla żołnierza, gdy się pamięcią wstecz cofa i czyny swoje ogarnia... Czy to możliwe, nieprzejednane szepczą usta, nie sen li to tylko?... Ale wzrok pada na szablę błyszczącą, na wstążkę z gwiazdkami, szereg trójkątów na rękawie i wszystko dawne na pamięć przywodzi. Duma rozpiera pierś pod mundurem, a lekkim rumieńcem płonie oblicze, bo nie masz w prawdziwie żołnierskiem sercu chępliwości.

Wino wypite, grać w skroniach zaczyna, jakaś

dziwna nas senność ogarnia i spokój bezmierny. Światło z komina ślizga się po czerniałych na ścianie świętych wizerunkach, po czapkach i płaszczach wojskowych, na kołkach zawieszonych... Zali to wojna?

Jak dziwnie brzmią dziś te słowa, jak śmiesznie od przytłumionych gwarów naszych odbijają. Dzisiaj Wielkanoc. Zapomnieliśmy o bitwie, która była tu wczoraj; nie wiemy nic o tej, która będzie jutro. Rozparci na ławach przy ścianie, gwarzymy z cicha grupkami, jakgdyby snując bajki, jakgdyby jakieś żaki szkolne, co się z swych pierwszych uczuć zwierzają pensjonarkom. — Taka godzina...

— Porucznik Raczyński zamelduje się u generała — wchodząc wraz z falą zimnego powietrza, oznajmił oficer dyżurny.

— Rozkaz!

Wróciła mi cała świadomość. Wstałem z miejsca, a nakładając płaszcz, usłyszałem dalekie strzały.

— Czy to o patrol chodzi? — Żarnawa witał się z oficerem.

— Nie, na trzecią placówkę natarły znaczne siły. Generał chce wesprzeć placówkę kompanją porucznika.

— Alarm! — Drugi oficer wpadł nagle jak bomba do izby. Powstał ruch i gdyś przeciskał

się w zatłoczonym alkierzu, usłyszałem, iż nieprzyjaciół zaatakował cały nasz odcinek. Gdyś był już w drzwiach, czyjś dźwięczny głos szarpnął mną w tył i równocześnie uczułem jak silna dłoń Żarnawy uściśnęła w przelocie moją rękę. W tym krótkim momencie spotkały się nasze oczy i w jego źrenicach ujrzałem dziwnie ciepły, dziwnie ojcowski wyraz.

— Pomogę panu z „polówek“ — na usta wypłynął mu uśmiech i z tym uśmiechem zniknął z moich oczu w ciemnościach. Ja wpadłem do generała.

— Weźmiesz pan swoją kompanję i drugi pluton czwartej — przywitał mię generał. — Masz pan utrzymać placówkę...

— Aż do odwołania — wtrąciłem.

— Nie, aż dotąd, dokąd będziesz mógł... do końca.

Siateczka drobnych zmarszczek zgęstniała przy tych słowach na generalskim czole, natomiast dolna część twarzy rozluźniła się nagle. Usta wyrzekły jakoś zbyt cicho:

— Liczę na pana, panie poruczniku. Okopy przed tą placówką jak pan wie, mamy słabe; artylerja nie wiele może tam zdziałać, bo niema się gdzie maskować. Tam najłatwiej mogliby nam przerwać front.

Zaciął się na moment i nie patrząc na mnie dodał:

— Jeżeli mnie ogień pozwoli, to podeślę jeszcze panu później ludzi. Spiesz się — wyciągnął rękę — liczę na pana — dodał jeszcze raz.

— Rozkaz!

Dopadłem swej kompanji, i w chwilę byłem gotów. Ogień karabinowy szalał już na całej linii. Ruszywszy, szliśmy znaną ścieżką, zasłonięci na razie wyniosłością naszych pozycyj. Po drodze pędem wymijały nas rezerwy, spieszące na łeb na szyję do okopów. Weszliśmy na wzgórze. Tu kule zaczęły brzęczeć nam koło uszu, bzykać i stukać o drzewa, ścięte gałązki rzucając nam do nóg.

— Sypią jak piachem; ktoś zaklął głośno, a potem w czwórkach dał się słyszeć uragliwy szmer.

— Milczeć tam w szeregu.

Przeszliśmy naszą linię i brzeziniowym lasem zmierzali ku placówce. Placówki były rozrzucone tak rzadko, że łatwo natknąć mogliśmy się na obcy patrol; nie należało go płoszyć. Wyszedłem na czoło. Kule padały coraz gęściej, a sytuacja stawała się tem przykrzejszą, że brzezina rzedniała w miarę naszego zbliżania się ku placówce. Nagle przypomniałem coś sobie:

— Sztabowy!

Sierżant zbliżył się do mnie.

— Przybylski został w ziemiance?

— Nie, idzie w drugiej czwórce.

— Co! toż on ze swoją nogą do placówki nawet nie dojdzie,

— Naparł się, panie poruczniku.

— Trzeba mu było zabronić. Wołaj mi go zaraz!

— Rozkaz!

Zatrzymałem się na boku. Po chwili Franek nieśmiało zbliżył się do mnie. Na ustach miał ten śliczny pół uśmiech dziecka, którym rozbierał mnie tak zawsze.

— Czyś ty zwarjował! — zacząłem — zawadzać nam tylko będziesz.

— Kiedy wcale mnie prawie nie boli.

— Ładnie nie boli, zobaczysz, rana ci się znowu otworzy.

— Możesz iść? — Wziąłem go pod rękę.

Brzeziniowy las kończył się jak nożem uciął; zaczynały się błota grzaskie i ciemne. Księżyc schował się za chmury, tak, że na kilka kroków nie było nic widać.

— A trzymać się tam równo w czwórkach.

Kule przestały nagle padać, co na tem otwartem miejscu było dla nas prawdziwem dobrodziejstwem, lecz czego nie mogłem zrozumieć. Było tak czarno, iż raz po raz stawiając naoslep nogi, zślizgiwałem się z suchych kęp w błoto, za sobą słysząc również charakterystyczny plusk. W butach miałem już pełno ciepłej, wstrętnej wody. Przyspieszyłem kroku, gdyż ten spokój ze strony nieprzyjaciela wydał mi się podejrzanym, prztem potrzebowałem ruchu, bo w głowie, po nie-

dawno wypitem winie, czułem jakgdyby czad. Zdawało mi się ciągle, iż siedzę jeszcze w ciepłej izbie i prawie jak na jawie widziałem białą nakryty stół, jarzący się w blaskach świec. Żarnawa siedział wciąż jakby nawprost mnie.

Przetarłszy ręką czoło, usiłowałem skupić myśli. Franek szedł rażno przy mnie, lecz mimo całego przywiązania, jakie miałem do niego, byłem nałzły. Nie ludziłem się co do bezpieczeństwa naszej wyprawy i wiedziałem, iż mogło przyjść do bardzo ciężkich terminów, a co gorsza do szybkiego wycofywania się. Wówczas chłopak ze swoją przestrzeloną nogą mógł zaszkodzić nie tylko sobie, lecz i nam. Teraz nadrabiał miną, ale co będzie później?

Wogóle nie zdawał sobie, zdaje mi się, sprawy z całego niebezpieczeństwa wojny. Tak jak rok temu uciekł z domu, naiwnym chłopcem, tak został do tej pory. Patrząc teraz na niego przypominałem sobie, jak szybko zawarliśmy z sobą przyjaźń. Oficerowie śmiali się ze mnie, nazywali mnie troskliwą ciocią i dziwili się mojej słabości do tego chłopca. Ja się nie dziwiłem. — Ten młody chłopak o delikatnym profilu pięknej dziewczyny wniósł do mojego życia, swój blady, nieśmiały uśmiech, uśmiech kobiety, dla której kiedyś, dawno!... e zresztą, cóż tam mówić — było! Wtem gdzieś daleko przed nami, czerwona ra-

kieta wzbila się nagle w powietrze i rozświetliła polanę. Wróciła mi cała przytomność.

— Biegiem! — Rój kul wyleciał naprzeciw nas, a srebrny reflektor wypełznął na niebo i zagarniając łapczywie pół horyzontu, ukazał nas nieprzyjacielowi. Widzą nas! — Biegiem!!

Do wzgórza placówki mieliśmy z tego miejsca najwyżej trzysta kroków i piach powstały przy kopaniu okopu jasno znaczył nam drogę. Nagle! ktoś zaklnął w tylnym szeregu, a równocześnie z rowu placówki przed nami wybiegło kilku żołnierzy i skuliwszy się, poczęło gnać prosto w nas, umykać. Dobyłem szabli i w tym momencie okrzyk z tysiąca piersi poraził mój słuch! Za jasnym szlakiem placówki, ujrzałem jakąś czarną masę — to nieprzyjaciół poderwał się i rycząc szedł na okop. Jak szaleni, co tylko w nogach sił, przez kępy i przez bagno pognaliśmy teraz ostatnim już prawie tchem, ześlizgnąwszy się w okop.

— Do strzelnic! — Nie trzeba było celownika. Nieprzyjaciół biegł gęstą tyraljerą, był już o jakie pięćset kroków.

— Gruchnęła nasza równa salwa, odpowiedział jej krzyk rannych i cała linja nieprzyjacielska przypadła do ziemi.

— Głowy im widać psubratom! — Znow padła salwa, atakujący zerwali się jednak i biegli bliżej.

Żołnierz nerwowo nabijał broń. — Huk! i nim

szereg skrył się za kępy błotne, znów kilka ciał z ostatnim jękiem runęło na ziemię; resztę jednak ukryły pagórki i wysoka trawa. Na nasze strzały odpowiedzieli regularnym ogniem. W okopie ktoś zawył przeraźliwie i z karabinem padł na wznak — trup!

Przyspieszyliśmy tempo strzałów, nie wiele jednak zaszkodziły im nasze kule, gdyż nie przerywali ognia. Strzelaliśmy na chybił trafił, nie widząc wroga.

— Siedzą tam jak susły — zaklął przy mnie sztabowy; omylił się jednak:

Z za wikli zerwały się cztery postacie i zaczęły umykać ku swoim.

— Bij w nich! — krzyknąłem.

Huknęło kilkanaście strzałów i jedna postać pozostała na miejscu, inne jednak zmykały dalej, jakby je kto na sto koni wsadził. Padli!... Myślałem, że tam zostaną, lecz za chwilę zerwali się znowu i poczęli biec zygzakiem, oddalając się coraz bardziej, choć w blasku reflektorów widzieliśmy ich jak na dłoni...

Strzelamy i znów jedna postać upada w tył, rozłożywszy ręce, lecz reszta gna... znika w starych okopach.

Żle, uszli od naszych kul, lecz za chwilę sprowadzić mogą posiłki i wówczas?...

— A mierzyć tam, gdzie największa trawa!

Zacząłem się przechadzać wzdłuż okopu, gdyż

nerwy nie pozwalały mi tkwić na jednym miejscu. Franek stał przy strzelnicy i walił zapamiętale, lecz kiedyś przechodził koło niego, usłyszałem jak syknął z cicha.

— Noga? — spytałem.

— Tak, trochę.

— Widzisz smarkaczu, no, trzymaj się jeszcze, jutro wypoczniesz.

Powiedziałem tak, by mu dodać otuchy, lecz bez zastanowienia. Wogóle ta noc należała do tych, podczas których najmniej można wiedzieć gdzie się będzie jutro... Tamci uciekli; lada chwila mogą im przyjść znaczne posiłki.

— Jezus Marja! — krzyknął nagle rozdzielającym głosem sztabowy i usiadł jak ścięty z nóg. Podbiegłem do niego.

— Co ci jest?

Wył jak opętany.

— Gadaj!

— Ręka — jęknął.

Nadbiegł sanitariusz i uniósł mu ramię. Znowu zawył przeraźliwie. Kula wpadłszy przez strzelnicę, trafiła go w łokieć i odłupała kawał kości, który drzazgą wystawał aż za rozdarty rękaw — krwi prawie nie było. Sztabowy skomlał bezradnie, jak pies, kopany w brzuch.

— Idą! idą! — krzyknięto od strzelnic. Pobiegłem za głosem i ujrzałem tych, co nas oblegali, jak zerwawszy się, gnali z rykiem, nie pomni na

nic! Mimowoli spojrzałem na mych ludzi — czynili na pozór zwykłe wrażenie, ale z szybkości ładowania broni, z przelotnych spojrzeń, czytałem cały ich strach.

Atakujący, padając gęsto trupem, gnali pomimo ich salw — już byli tuż!

Chwyciłem sam karabin i z boską satysfakcją usłyszałem po mym strzale krzyk żołdata, walącego się na ziemię.

Padli znowu nie dalej, niż dwieście kroków. Teraz nie zasłaniało ich nic przed naszym wzrokiem. Żołnierz strzelał jak szalony, a kule przygważdżały leżących do ziemi. Byli tak blisko, iż najwyraźniej słyszałem każdego poszczególny jęk.

— Wybijemy, panie poruczniku!

— Część wrogów tuliła się po dawnemu do ziemi, lecz druga część zerwała się z trawy, poczęła uciekać.

Usłyszałem śmiech mych żołnierzy i huk gradu kul, co bił w uciekających.

Nagle ujrzałem, iż ci co zostali, zrywają się znów przeciw nam.

— W tych! — krzyknąłem najbliższemu stojącemu żołnierzom... Jeżeli padną niedaleko okopu znów skryje ich wyniosłość.

Niech to piorun zapali! już leżą.

Kazałem znów zmienić kierunek i strzelać do uciekających.

Nagle odezwali się ci z przed placówki. Odpo-

wiedziały im krzyki i jęki moich ludzi. Odwróciłem się nagle i ujrzałem, iż kilku żołnierzy leży na dnie rowu, a potem czyjeś oszalałe z bólu wlepione we mnie oczy, przyciągnęły do siebie mój wzrok. Nie mogłem poznać tych oczu, lecz widziałem jak żołnierz, który się niemi patrzył, osuwał się w dół po ścianie okopu, wyjąc niemiłosiernie i prężąc kark. Ktoś trzymając się za głowę, przeleciał potykając się o mnie, jakiś znajomy głos wył wciąż: ekrazytówkil! ekrazytówkil!

— Zaczęło się!...

Sam z karabinem stojąc przy strzelnicy, strzelałem w zapamiętaniu, lecz do uszu cisnęły mi się wciąż krzyki konających i rannych, którzy wołali sanitariuszy, zajętych ze wszech stron.

Na prawo od nas zagrały armaty — bitwa poczęła się na całej linii. Nie zmieniałem komendy, lecz widziałem już jasno, że jeśli nie przysła nam posiłków, wyginiemy co do jednego, utworzywszy w tym wale drugi z swych własnych ciał wał. Kwestja naszej obrony była przesądzona. Wspominałem na obietnicę generała i nie mogąc zaczerpnąć z niej otuchy, wszystkimi myślami czepiłem się tych kilku Żarnawy słów. Gdzież więcej niż tutaj potrzebny był karabin maszynowy. Nagle przed sobą usłyszałem ogromne hura! i za chwilę pojąłem, iż ten okrzyk triumfu u wroga oznacza przybycie posiłków.

Kazałem zwiększyć ogień, lecz całą swoją du-

sza, całem swem jestestwem zawisłem już teraz na jednej niteczce nadziei, że przecież Żarnawa obiecał, że nie zostawi nas tak!

Kazałem strzelać i strzelać, by nie dać sekundy czasu żołnierzowi, by choć przez chwilę jeszcze powstrzymać tę nawałę, co zetrzeć nas miała na proch.

Biegnać wzdłuż okopu, widziałem szkarłatne gorączką twarze, widziałem szalone ręce i nie słyszałem już nic, krom własnej komendy.

— Nagle co to?! — Huk, jakby niebo zwałiło się na ziemię, a potem z tyłu o Boże! z naszych własnych pozycyj, nasze własne działa biją prosto w nas!

— Jezus Marja! — Karabin maszynowy zakurzył się na okopie, karabin, wymierzony ręką Żarnawy, idzie ku nam przez rów.

— Boże! — Bielak pada jak ścięty!

Żaba wije się ranny!

Za nim wali się dwóch.

— Co to jest?!

Ha! ha! to Żarnawa dotrzymał słowa! Żarnawa bije w nas z dział!

— Gdzie Górski?! Stał tu przed chwilą przy mnie!

— Sanitarjusz!

— Ranny!

— Drugi! —...

— Trup!

Wróg gasi reflektory i nie widząc czuje, iż ktoś padając, zawadza o me ramię. Pochylam się:

— To Łaski...

— Co ci jest?!

Leży bez słowa, z czoła ścieka mu pasmo krwi...

Podnoszę jego głowę: — Co to?... Palce dotykają czegoś miękkiego. Cały tył głowy, pół czaszki Łaskiego wraz z włosami leży na piasku, w palcach wyczuwam mózg!...

W ciemności czarna masa zwała się teraz na okop, w ciemności z resztą ludzi uciekam naoslep sam.

Biegniemy w stronę swoich. Ha! ha! do swoich!...

Tam przecież z naszych pozycyj ogień idzie piekielny i my, którzy wytrwali do końca, biegniemy teraz tam, gdzie szaleje baterja, gdzie Żarnawa wyprowadzi nam rzeź!

Za nami tupot tysiąca nóg, przed nami...

Grom zahuczał nad głową! Granat rozpęka się gdzieś w tyle! uderza w atakujących, słychać krzyk!

Biegniemy dalej. Odsadzamy się trochę i znowu grzmot, coś jak huragan wali mną o ziemię; po lewej, po prawej stronie słyszę jęk.

To Żarnawa!!

Nieprzyjacielski reflektor znów rozświetla pole. Strach zrywa mię z ziemi, na której w ostatnich konwulsjach zostawiam mych żołnierzy.

To Żarnawa!!

Przed nami linja starych okopów, a za nią brzezina, ten brzeziniowy las, gdzie najgęściej biją teraz z dział.

Tam śmierć pewna! Żarnawa ha! ha!

Ostatkiem sił wybiegam na czoło i ostatnią wydając komendę, krzyczę: Stać!

Żołnierz, ten stary żołnierz, wydany na rzeź, szalony męstwem ostatniem, odwraca się w stronę wroga!

— Nie strzelać! — krzyczę.

— Cicho... W starym się ukryć okopie, tu w oficerskiej ziemiance, inaczej zginiemy, śmierć!

Biegnę przodem wzdłuż rowu; nie omylony pamięcią wpadam do ziemianki, obszernej, takiej, jakie buduje się na stałych pozycjach. Obronić nas ona może od kul karabinowych i w razie gdyby wróg nie zdołał się długo utrzymać, mogłaby ona także odwrócić od nas śmierć.

W stęchłym powietrzu w ciemności, przyczaiwszy się wszyscy oddychamy ciężko, nie mogąc złapać tchu. Kapral Jamroś drżąc przy mnie ze strachu jęczy, iż nas tu wymordują i żali się prawie w głos.

— Cicho, milcz! Będziemy się bronić bagnietami.

Jamroś kładzie obie pięście do ust i wybucha spazmatycznym płaczem.

— Milcz! — Zgubisz nas wszystkich.

Z kolei i mnie chwyciło febryczne drżenie. Nie raziły mnie ciche jęki rannych, ale ten płacz starego żołnierza wytrącał mię z równowagi, pozbawiał poprostu sił.

Jamroś umilkł gryząc z rozpacz palce.

Nagle przypomniałem coś sobie i włosy powstały mi na głowie.

— Przybylski!...

Na razie nikt mi nie odpowiedział.

— Przybylski! — zawołałem jeszcze raz.

— Został w placówce.

— Zabity?!

— Nie, gdyśmy uciekali, widziałem go jak próbował wyjść z okopu. Nie mógł widać tej swojej nogi tak wysoko wzlec.

— Jezus Marja! — Przed oczami stanął mi uśmiech tego dziecka. Nie, już nie mogłem. Chciałem wyskoczyć i lecieć sam nie wiedząc gdzie.

— Panie poruczniku zobacz!... Idą! — krzyknął jakiś przerażony głos.

Cofnąłem się w tył, odzyskawszy na tyle przytomności, by pojąć, iż ciąży na mnie odpowiedzialność za życie wszystkich tych ludzi...

— Z karabinem pod ścianę i czekać...

Przez chwilę słyhać tylko było huk dział, lecz teraz... Doszedł nas tupot setek nóg; piach gdzieś osypał się w pobliżu — wróg był w okopach.

Usłyszeliśmy komendę i kilka postaci zamajaczyło przed otworem.

Ścisnąłem szablę... Postacie znikły, biegnąc dalej do strzelnic. Teraz słyszeliśmy tylko huk dział. Baterje były huraganowym ogniem w nasz okop; ziemia ryta wokół szrapnelem jęczała nad nami, a piach sypał się na nasze głowy. Nieprzyjaciół odpowiadał z mitraljez i karabinów. Bitwa wrzała w całej pełni.

Co chwila ktoś przelatywał koło wejścia, a wówczas serca waliły w nas jak młotem. Starałem się porachować ludzi...

— Było nas najwyżej ze dwudziestu!... Reszta legła, lub została z powodu ran, jak Franek. Jezus Marja! Franek!...

Z zewnątrz dochodziły nas głosy obcej komendy, przekleństwa i krzyki.

Nagle z tego gwaru, skroś ogień huraganowy, jeden głos silniej się począł wyłaniać i zbliżać ku nam. Był to jęk rannego. Szedł z rowu...

— Uważać — szepnąłem.

Głos powtórzył się, ktoś szedł czy pełznął do nas, był zaledwie już tylko o kilka kroków... Już jest!

Czarna plama zasłoniła sobą otwór wejściowy i stało się zupełnie ciemno a jęk wśród grobowej ciszy zabrzmiał ponownie, lecz już w ziemiance.

Nagle zakotłowało się tylko, ktoś chwycił za głowę, ktoś zatkał usta, a ostry bagnet kilkakrotnie pograżał się w piersi rannego.

Żołnierz wyrzucił nogi. Ten co go trzymał za

głowę, nachylił się wraz z nią ku ziemi i nie puszczał ust, drugi szybko siadł na nogach leżącego, które w konwulsji kopały wokół. Te nogi ciśnięto do ziemi w obawie, iż odgłos ich agonji doleci tam do okopu... Po chwili było po wszystkim. Usunięto trupa w głąb ziemianki i znowu trwano w bezruchu. Musiał już robić się dzień, gdyż ciemna ściana naprzeciwko wejścia szarzę poczyniała. Kazałem się skupić po bokach, żeby przy dniu ktoś przechodzący nie ujrzał nas od wejścia.

Zażarta bitwa trwała ciągle; huk dział stawał się coraz większy; ściany ziemianki drżały. W nosie, w ustach i w uszach miałem pełno piachu. Sufit groził zawaleniem. Ślaniałem się, nogi mi drżały a krew wszystka spływała do głowy i pulsowała w skroniach.

Raptem! jakby niebo całe zwało się na ziemię... Huk!... Coś uderzyło mnie w głowę!... Upadłem...

Po jakimś czasie ocknąłem się zupełnie przytomny. Krew odpłynęła mi od głowy, do nozdrzy przenikało świeże powietrze. Koło siebie usłyszałem jęk... Równocześnie poczułem, że ktoś pociąga mnie za nogi, przypomniałem sobie wszystko i szarpnąłem się...

— Cicho!... To ja panie poruczniku...

Rozpoznałem głos kaprała Spisaka.

Szrapnel upadł tuż obok ziemianki i zwałił część sufitu, który uderzył mnie w głowę.

Kapral wciągnął mnie w róg ziemianki, gdzie pochylona część dachu tworzyła ciemną niszę. Byli tu skupieni wszyscy żołnierze, bladzi, wyłękli, oniemieli ze zgrozy.

I znowu usłyszeliśmy skrót dział jęk głośny i bliski. Spisak skoczył naprzód. Tak, i ja już słyszałem, to któryś z naszych.

— Wyda nas! — skoczyłem za kapralem... Rzecz prosta to Jamroś... Stał przecież wtedy przy mnie. Szybko wciągnęliśmy go do siebie. Całą głowę miał we krwi... Jęczał...

— Usłyszają nas, usłyszają! — z rozpaczą szeptali za mną żołnierze. Bez namysłu, nie chcąc mieć zajętej ręki, wpakowałem swą chustkę do nosa w zakrwawione usta Jamrosia i podawszy go za siebie przyczałem się, cały zmieniony w słuch. Dopiero teraz poczułem jak silnie zostałem uderzony w czaszkę. Sięgnąłem ręką, cały wierzch głowy uchylał się pod palcami — był opuchnięty.

Ogień nie słabł ani na chwilę, próbowałem się zorjentować w sytuacji. Właściwie ten szrapnel wyświadczył nam przysługę, gdyż zasypał wejście od strony okopu; odkrył nas wprawdzie częściowo od góry, ale to nam dawało tylko przypływ świeżego powietrza. Nieprzyjaciół nie mógł nas ujrzeć inaczej jak wychodząc na okop, a wo-

bec tej strzelaniny, śmierć nam grozić już tylko mogła od niej.

W południe ziemianka nasza zawałiła się cała, a my wychodząc dążyliśmy w stronę naszych. Nieprzyjaciół opuścił okop!

Przetrwaliśmy tyle, że było nam już wszystko jedno, nie zdawaliśmy sobie sprawy ani z wolności, ani zarówno z tego cośmy przeżyli tej nocy.

Szedłem na końcu, czapkę rzuciwszy gdzieś po drodze, bo do głowy dotknąć się nawet nie mogłem. Szablą podpierałem się ciężko, tak, że aż gięła się cała pod moim ciężarem.

— Panie poruczniku — czyjś głos wyrwał mnie z zadumy, więc spojrzawszy zmęczonemi oczami, ujrzałem jakąś postać i poznałem Jamrosia... Stał przede mną blady jak papier, a głowę miał obwiązaną koszulą, całą czerwoną od krwi.

— Panie poruczniku! Chciałem oddać chusteczkę — wyciągnął przed siebie swą wielką dłoń, na której, gęsto znaczone czerwonymi znakami, leżała chustka. Tak, to ta, którą knebłowałem mu usta.

Spojrzałem w pocziwą szeroką twarz żołnierza, w jego dobre, a krwią jeszcze zaszłe oczy i rzekłem:

— Nie, ja tego nie wezmę przyjacielu.

Zdziwił się.

— Nie dlatego, że brudna, nie, ale nie wezmę.

Zrozumiał! O, lepiej zrozumiał, niż najserdeczniejsi przyjaciele ze stolicy, lepiej, pomimo, iż był zwykłym chłopem.

— Ja przecie nie krzyw na pana porucznika — wyrzekł nieśmiało.

— Wiem, wiem przyjacielu, ale już rzuć to... Pójdziemy... I szliśmy, szliśmy przez brzezinowy las, zorany szrapnelami, wtłoczony w ziemię ogniem artylerji.

Lekki deszcz poczał mżyć gęsto, a wiatr przenikał nasze utrudzone członki.

— Ty żyjesz! — z wybuchem radości biegnąc ku mnie, powitał mnie podchorąży Cisowski.

— Żyję — rzekłem bez przekonania i zwałem się na pryczę, oczami tylko wskazawszy mu karafkę z wodą... Podał mi ją, piłem chciwie, choć woda była zimna... Pytał co? jak? — machnąłem tylko ręką. Wyleciał więc z ziemianki rozgłosić czempredzej nowinę.

Głowa opadła mi na poduszkę, przymknąłem oczy, zdawało mi się, że całem ciałem lecę gdzieś w przepaść bezdenną.

— Słuchaj! Jeżeli tylko możesz wstawaj, wstawaj! pomogę ci. Generał cię wzywa!

Zerwałem się na równe nogi i zatoczyłem z miejsca.

Generał! Ach, sam generał! Zapomniałem

wszystko, głowa tylko ciążyła mi znów okropnie. Cisowski wyprowadził mię przed ziemiankę i sam szedł przodem, spiesząc się najwyraźniej.

Generał!... Acha, pewnie trzeba będzie zdać raport za wczoraj... za wczoraj?... Musiałem sobie usilnie wszystko przypominać; poprostu żeby nie przemilczeć czegoś, nie kłamać. Wszystko to, com zdołał przywieźć na pamięć, zdało mi się jakies bezwzględnie obce, takie, jakbym wszystkiego tego nigdy nie przeżywał, tylko zasłyszał przelotem, kiedyś, bardzo dawno.

— — — — —
Skończyłem... Stałem przed generałem, a nogi w kolanach drżały mi zlekka...

— „Szturm więc odparty“ — „Generał coś mówi... Zasługa to w pierwszym rzędzie twoja i kapitana, poruczniku, (jakiego kapitana?). Ty wstrzymałeś na sobie nieprzyjaciela, a kapitan tymczasem zatoczył działa (zatoczył działa) — tu generał spojrział na mnie i zaciął się... — kapitan Żarnawa postąpił rozsądnie; w ten sposób ratował front i armję.

Spojrzałem gdzieś daleko przed siebie, gdzie ze wzgórza z nieprzerwanego frontu było moją widać placówkę...

Moja placówka!... Stosy ciał, niepogrzebanych może nigdy żołnierzy, świadczyć będą o mojej placówce!

Jęk nieopatrzonych rannych, rannych wtłaczanych w ziemię, ogniem własnych bateryj! wołać będzie, to twoja placówka!... Franek!...

Ze wzgórza, na którem stały milczące teraz armaty, powoli do sztabu zbliżał się kapitan Żarnawa.

Utkwiłem w niego swój wzrok... Za tych wszystkich! Za tych wszystkich co legli!... Co w opuszczonym tam konają okopie!... za niewinny uśmiech dziecięcy Franka, odpowie mi ten człowiek... Zbliżał się... Cokolwiek dziać się potem będzie, odpowie mi za nich! Ręka sprężyła mi się w jednej chwili, palce ścisnęły się razem, a wzrok mój cały zawisł na jego twarzy... Stanął przede mną...

— Pan się nie gniewa na mnie panie poruczniku, że ja strzelałem do pana...

Mówił mi tym samym co zawsze, spokojnym, pewnym siebie głosem i patrzył we mnie tak samo głęboko, tak samo czule, jak wczoraj przy pożegnaniu.

Krew zahuczała mi w głowie, a wzrok mój z niezmierną nienawiścią ześlizgnął się po nim... Lecz jego ramię bezwładnie zwisało na temblaku... Spojrzałem na marny okop artyleryjski, zryty szrapnelami! na działo rozbite granatem... i nagle!... Nagle — przejrzałem! Poczułem, że dopiero teraz poznałem tego człowieka, że dopiero

teraz mam prawo zawsze liczyć na niego i sam się poczułem mężczyzną.

W jednej chwili wyprężyłem się jak na paradzie, jak pomnik z najszlachetniejszego metalu, zastygłem na baczność w pozycji:

— Cóż znowu panie kapitanie! najmniejszych nie roszczę pretensyj!

Silnie uściśnął mą rękę.

DRAMAT

CZYLI

OPOWIEŚĆ O ŻYCIU OPTYMISTYCZNA

I. CZĘŚĆ.

...Zresztą przecież się nie bał. Wogóle książę Artur nie mógł sobie przypomnieć, by w życiu bał się czegośkolwiek. Może kiedyś, dawno, będąc jeszcze bardzo młodym, doznawał podobnego uczucia, lecz w jakiejś innej, bardziej złożonej, a więc i słabszej formie. Strach!... Nie; strach stanowczo nie był pierwiastkiem duszy księcia. Jeśli nań kiedy przychodził, to tylko w chwilach dobrowolnego poddania się sugestji innych — otoczenia. Książę oddawna żył już życiem subiektywnem.

Nikłowy, błyszczący w świetle biurkowej lampy bębenek rewolweru raz po raz błędził w źrenicy księcia. Między stopami przewijał się oślizgły jakiś chłód, dziwny, tem dziwniejszy, iż nietylko story, ale i żaluzje okien były zamknięte. W kaloryferach dyskretnie dzwonił strumień ogrzanej pary. Książę Artur powstał od biurka i rozłączył telefon; mógł ktoś zadzwonić. Wracając na swoje miejsce, cicho uchylił drzwi do salonu.

— Ciało Ludwiki Arturowej księżnej Słogockiej, przykryte złotym całunem jarzących się

świec, wyrazistością wszystkich jej rysów, na czarnym znaczyło się katafalku. Artur, nie przy-
mykając drzwi, wrócił na swoje miejsce. Ujął
zimną rączkę rewolweru. Stanowczo w usta, po-
myślał, kula przebiwszy mózg wyjdzie tyłem
głowy i wszystko skończy się momentalnie. Tak
przecież odebrał sobie życie jego ojciec, tak samo
skończył ów miły Otto Baldwin, młody sports-
men, dotknięty nagle paraliżem prawej ręki.
Przecież nie dalej jak miesiąc temu w ten sam
sposób zastrzelił się graf Łunaczerskij, gdy prze-
grał w karty majątek. No tak, lecz ta ostatnia, to
inna sprawa, to nie powód, to słabość. Słabości
książe nie mógł wogóle na żaden sposób wyrozu-
mieć. Patrzył teraz w lufę rewolweru i słyszał
jak korytarzem, skradając się lękliwie, chodził
jego stary kamerdyner, nie śmiejąc wejść i nie
śmiejąc się oddalić. Biedny, głupi Jakób, gdyby
wiedział, napewno, wpadłby tu zaraz. I po co? Nie
drażniło to nawet księcia, tylko śmieszyło niepo-
miernie. Więc ten pocziwy stary sługa sądził, iż
gdyby teraz naprzykład rozbroił jego, tem samem
zachowałby go przy życiu. Śmieszne, tem śmie-
szniejsze, że nie jeden tylko głupi kamerdyner
gotów był tak sądzić.

Książe podniósł lufę, a palec złożył na cynglu.
Był zupełnie spokojny. Pociągnął za cyngiel,
znaczyło teraz dla księcia tyle samo, co urzędowe

zaprotokółowanie faktu, już wcześniej bezwzględ-
nie dokonanego.

Już... Książe Artur powoli, ze wzrokiem utkwio-
nym w rozwarłe drzwi salonu, naciskał cyngiel.
Nagle! — W miarę jak kurek rewolweru unosił
się, Artur poczał doznawać jakiegoś dziwnego
uczucia, rosnącego w nim z coraz to większą siłą.
— Co to jest? — odłożył rewolwer. Nie bał się
przecież zupełnie, nie miał w tej chwili w sobie
ani za jotę lęku przed śmiercią! A jednak?

— Czuł żal; niczem nie wytłomaczony, lecz żal.

Poczał się pytać siebie i nie znajdował odpo-
wiedzi. Sam przecież chciał tego; sam w obecnej
sytuacji uważał to za konieczne i nie bał się,
więc?...

Słogocki ujął głowę w dłonie i poczał myśleć.
Myślał intensywnie i obiektywnie, jakgdyby nie
o sobie, lecz o kimś trzecim, kimś mu zupełnie
obojętnym. Ten sposób myślenia przyswoił sobie
już od dawna, uważając go za najwłaściwszy, za
jedyne, jakim świadomy człowiek powinien się
posługiwać.

Książe Artur w skrócie przebiegł swoje życie,
lata swego małżeństwa. Pięć lat temu zakochał
się był w Ludwice. Była to miłość tak wielka, iż
wkrótce zaabsorbowała wszystkie jego zmysły,
spychając na plan 2-gi jego wszechstronne zain-
teresowania. Po roku ożenił się. Czy był szczęśli-
wym? — mało, był więcej niż szczęśliwym. Przez

cztery lata nietylko że nie przyszło pomiędzy żoną, a nim ani razu do nieporozumienia, lecz czuł, iż miłość jego wzrasta z roku na rok. Żona przez cały ten czas stanowiła dlań pierwszy plan życia; bez niej wszystko byłoby głupie, śmieszne i szare. A jednak zachorowała; zachorowała tak, iż doktorzy nie czynili najmniejszych nadziei — choroba nieuleczalna. Artur czuł w tym czasie, iż w miarę jak z niej uchodziło życie i on miał go w sobie o tyleż mniej. Rzecz była dlań jasna, naturalna i jedynie na miejscu. No więc?...

Pytał się teraz siebie i nie znajdował odpowiedzi. Zrobił budżet, podsumował cyfry, powinny się znosić, a jednak?... Zostawała jeszcze ta reszta; ten śmieszny żal.

Artur palcami poczał przebierać włosy na skroniach i czytać ponownie w księdze swego życia. Ta mała reszta wciąż jednak tkwiła tam na końcu. Powoli, bardzo powoli podnosił oczy z nad biurka. W tej chwili miał minę człowieka uczciwego, którego ktoś podstępnie oszukał. Niesmak malował się na twarzy księcia. Szukając oparcia dla znużonych oczu, wzrok złożył na biurkowej słuchawce telefonu, i o dziwo, w miarę jak patrzył, rysy jego wyglądać się poczęły. Nagle wstał. Energicznie włączył kontakt; wywołał stację:

— Numer 162-08 tak, 162-08... Baron Wisel?... Tu Słogocki, przyjeżdżaj natychmiast. — Odłożył

słuchawkę i spojrzał na zegarek... Była minuta po 12-ej.

Jesienny deszcz bębnił po zapuszczonych żaluzjach, jakgdyby dobijając się do Artura, jakgdyby usiłując wraz z wichrem, wedrzeć się do gabinetu. W salonie nad katafalkiem, chwiały się bezszelstnie płomienie świec. Książę zadzwonił. W tej samej prawie chwili kamerdyner Jakób stanął w drzwiach. Niespokojnym i nieśmiałym wzrokiem liznął twarz księcia.

— Frak! —

Kamerdyner zdawał się nie rozumieć; stopniowo jednak na jego starej, pomarszczonej twarzy, na której niezatartymi śladami znaczyły się wszystkie koleje losu książąt Słogockich, pojawiać się poczęło, pełne wyrzutu zdumienie.

— Frak! — z naciskiem powtórzył książę.

Drzwi za lokajem zamknęły się. Słogocki poczał wiązać przed lustrem białą jedwabną krawatkę. Drażnił go ten Jakób. Gdy w chwilę potem, biorąc z rąk kamerdynera frak, spojrzał w jego oczy, mimowoli drgnął: Wzrok Jakóba jakimś tępych bólem przenikał przez nieomknięte drzwi salonu. W tej chwili czuł książę, iż gdyby poszedł za pierwszym popędem, udusiłby tego starego sługę, który na rękach go jeszcze nosił. — Może właśnie dlatego, że mię na rękach nosił — pomyślał Artur, przyczesując włosy.

...Gdy czarny, błyszczący „Rolls-Royce“ sunąc cicho, dyskretnie przemykał się ulicami stolicy, książę w oświetlonej siedzibie karecie, nie odzywając się słowem do Wisła, obserwował błyszczące nosy swych lakierów. Baron ukradkiem spoglądał na księcia. W obojętnej na pozór twarzy przyjaciela widział zagadkę i zagadką dlań było całe zachowanie się Artura odkąd, pośpieszywszy na jego wezwanie, przekroczył próg gabinetu. Lecz baron lubił zagadki i wogóle lubił wszystko to, co trąciło choć trochę sensacją. Jadąc przed pół godziną do księcia, był zgóry przygotowanym, na smutny obowiązek pocieszania go w nieszczęściu, co nigdy nie jest rzeczą zbyt mądrą i nigdy nie udaje się w zupełności. Gdyby to nie był Słogocki, Wisel postarałby się zręcznie wykręcić od tak niemiłej misji, ale dla Słogockiego miał bardzo wiele sympatji i tego jakiegoś szacunku, który płynął z poczucia wyższości Artura nad nim samym; tem więcej więc czuł się nieswojo. Obawy jednak barona okazały się płonne. Artur przywitał go we fraku, rozmawiał tak, jakgdyby nic nie zaszło i wkońcu zaproponował ten wyjazd na miasto. Gdzie mieli jechać na dzień przed pogrzebem, tego baron w żaden sposób nie zdołał odgadnąć.

— Gdzież pojedziemy? — jakgdyby echo myśli barona — spytał Słogocki.

Wisel uważał za stosowne w takiej chwili nie

okazywać swego zdziwienia: — Doprawdy trudno coś zdecydować...

Poprostu niema gdzie; jest to godzina nocnych szantaków. — Twarz księcia na chwilę ściągnął jakiś skurcz, a następnie pojawił się na niej jakby uśmiech: — Wobec tego jedźmy do szantaku.

Baron zanurzył swój wzrok w oczach Artura; jakaś zimna jednak zaporą nie dozwalała mu dostać się do środka tych źrenic. Poznał jednak to, iż książę nie żartuje. W myśli szybko poczał przeprowadzać wybór lokalu, myśląc jednocześnie o tem, skąd zawezwać doktora w razie, gdyby okazało się, że Artur zachorował nerwowo. — „Victoria“, „Continental“, „Moulin-Rouge“ — wyliczał w myśli Wisel, zwracając baczną uwagę, iż były to wszystkie lokale, gdzie mogli spotkać znajomych.

— „Chichinette“ — zdecydował wkońcu, nakazawszy szoferowi wykręcić za rogatki.

Zaraz w małym, ze śmiesznym blichтром urządzonym westybulu, jakaś mocno brzydka o długim stanie, w opiętej sukni szansonistka, wetknęła księciu wraz z programem, wymiętoszoną białą chryzantemę. Rzucili coś nie coś na tacę i weszli do łóż.

Na sali panował półmrok; nie ten miły, powstały przez właściwe rozmieszczenie światel i pół-cieni, lecz ten stworzony z dusznych, błę-

dzących po sali oparów, silnych perfum, trunków i tytoniu. Dwie orkiestry, grając na zmianę, obrzydzały najnowsze modne melodje, a kilka par tańczących tłoczyło się między stolikami. Wisel i książę nie mówili nic, lecz pijąc wino, myśleli każdy na swój sposób: Baron patrząc na księcia myślał teraz od niechcienia, iż bądź co bądź, zabić się tego wieczoru nie zdoła. Nie dlatego, iż zabrnął do tej spelunki; takie lokale nie były mu pierwszozną i tu przecież można się było bawić. Nie dalej, jak tydzień temu, w tej samej łoży czuł się doskonale, ale teraz, teraz ze względu na Artura poprostu nie było mowy.

— Mój drogi, starzejesz mi się.

Wisel pytający wzrok obrócił na księcia.

— Najoczywiściej. — Nie chcę bynajmniej twierdzić, iż zrobiłeś się antyfeministą, gdyż zdanie podobne w tym lokalu, byłoby w jednostronności swojej za brutalne, ale obawiam się, że rażą cię już pewne kobiety i pewne drobiazgi; wyrażę się ściślej: nie umiesz się zająć już pewnymi drobiazgami, rażą cię różne rzeczy — książę miał przymrużone oczy — razi cię brud, dlatego tylko, iż my go zwiemy brudem, razi cię szablon, dla innego niemniej łatwego szablonu.

Wisel bądź co bądź, nie był kompletnie głupim chłopcem. — Wychylił się z łoży i zrobił takie oko do dwóch, w jaskrawych szalach dam, siedzących na sali, iż książę nie mógł go nazwać

w tej chwili inaczej jak zwykłym łobuzem i cofnął zdanie.

Za chwilę zasunęli firanki łoży...

— Proszę panów, nie chcecie tego co powiem komentować sobie fałszywie, sądzę, iż wszyscy panowie wierzycie, iż co do zasadniczych kwestyj solidaryzuję się z wami —... Rozmawiający przychli. Luboński chciał coś widzieć powiedzieć. Mówił tak rzadko, iż słuchano go zawsze z uwagą; przytem nie bez powodu przypisywano mu rozum i takt prawdziwego arystokraty. Hrabia rozparł się w klubowym fotelu.

— Wewnętrzne poczucie takiej solidarności łączy ludzi na drodze towarzyskiej, honoru, powinności; ośmielam się nawet twierdzić, że i w życiu klubowem — tu hrabia, jakgdyby przepraszając za narzucanie się, łaskawie skinął siwą głową. Młodzi ludzie odpowiedzieli ukłonem, pełnym uszanowania.

— Otóż jak sądzę — ciągnął hrabia — nieporozumienie nie leży w samej zasadzie, w tym wypadku chodzi o fakt i o tego faktu komentowanie. Co się tyczy samego faktu, pozwólcie, lecz jeżeliście go za stwierdzony — zbyt pochopnie. Świadek kelnera z trzeciorzędnego szantanu nie może być w tym wypadku miarodajne.

— Jednakże cóż za cel mógłby mieć taki kelner...

— Panowie wybaczą. Nie zwykłem się zastanawiać nad celowością postępowania tego rodzaju ludzi. Wiem natomiast, że bywa ona często bardzo brudna i że przeceniać jej poprostu się nie godzi. Jeżeli nie odrzucam stanowczo podobnego przypuszczenia, czynię to z dwóch powodów.

Hrabia zapalił cygaro i zasiadł się wygodniej w fotelu.

— Pierwszym powodem, skłaniającym mię do tego przypuszczenia będzie nasz przyjaciel Wisel.

— Wisel odmawia wszelkich wyjaśnień — wtrącił Biłgorzewski.

— Dlatego właśnie. Wszyscy znamy barona, więc nie z powodu, że go tu niema możemy stwierdzić, iż ten dobroduszny, miły chłopak ma słabość do stwarzania sobie ze wszystkiego, jakichś zawiłych, napozór tajemniczych koncepcyj. Otóż biorąc z jednej strony pod uwagę tę słabość barona, z drugiej zaś, iż milczenie jego, w wypadku, gdyby nie miał nic do powiedzenia, mogłoby zaszkodzić opinii księcia, z czego baron zdaje sobie napewno sprawę; ośmielam się tylko przypuszczać, iż fakt podobny mógł mieć miejsce. Zgodzicie się panowie, że środki, któremi do tego dochodzę są bardziej ważne od waszych. To jedno; jest jeszcze drugi powód, który aczkolwiek już nie popiera żadnymi realnymi faktami mego przypuszczenia, jednakże ponieważ tłumaczy ewentualny nietakt księcia...

— Tłumaczy!?!...

— Poniekąd tak. Proszę panów, spieszę z wyjaśnieniem, gdyż nie chcę, by ktoś choć na chwilę przypuścił, iż rozgrzeszając księcia z zarzutu jednego, wysuwam mu inny, silniejszy, dotyczący jego braku uczucia dla nieboszczki księżny Ludwiki. Nie, nie myślę nawet analizować tego uczucia, byłoby to nazbyt brutalne. Wiemy przecież, iż książę żenił się bez posagu; wiemy, że gdyby chciał się kierować względami majątkowymi, mógł zrobić dużo innych i bardzo korzystnych partyj. Wiemy, tak jak człowiek wie o człowieku, że książę w małżeństwie był szczęśliwym; wiemy o tem zarówno od opinii, jak i od niego samego — to jest przez obserwację. Proszę sobie teraz, na tego rodzaju motywach wytłumaczyć rzecz całą. Napozór zdawałoby się mogło, iż powiedziałem bardzo mało, jednakże...

Hrabia przebiegał się cały w stronę słuchaczy. Panował już nad nimi niepodzielnie. Był jak profesor, który rozwija przed oddanymi sobie studentami, zawiły problem. Czuł, że ufają mu wszyscy i sam był pewnym siebie. Takie chwile należały w życiu hrabiego do najprzyjemniejszych. — Jednakże — powtórzył, weźmy okres choroby księżnej: Widywalismy wówczas Słogockiego bardzo rzadko; ja trochę częściej. Zauważyłem kiedyś u niego w tym czasie, silny zawrót głowy; gdym zwrócił na to jego uwagę, radząc

mu doktora, nie odrzekł narazie nic. Złożyło się tak, iż byliśmy tylko sami. Z bladym uśmiechem opowiedział mi rzecz następującą:

— Wie pan, ja wogóle nie wierzę, by doktor cośkolwiek na to poradził. Zawroty te, miewam teraz bardzo często, tak jak na przykład jeszcze niedawno, traciłem na krótki czas, władzę w rękach. Pana to zdziwi hrabio — mówił do mnie, lecz te oznaki są czemś wtórnem, są wiernem odbiciem symptomów choroby mej żony. — Ponieważ nie mówiłem nic, starał się wyjaśnić: — Proszę pana, o ile jestem w stanie spojrzeć na te sprawy obiektywnie, o tyle muszę stwierdzić, że każde, nawet suche sprawozdanie doktora o postępie choroby mej żony, powoduje u mnie natychmiastowe, silnie nerwowe i silnie intelektualne wczuwanie się w te symptomy. Chęć i pewnego rodzaju poczucie obowiązku, poznania ich gruntownie, powoduje dzisiaj już nawet mimowoli stan silnej autosugestji. — Machnął pod koniec ręką: — Hrabio, sugestja wiele może.

— Otóż proszę panów — ciągnął Luboński — książę Artur pod wpływem takiej sugestji, sugestji potęgującej się z dniem każdym, był aż do ostatnich chwil życia księżnej. Lecz nastąpiła jej śmierć. I co się dzieje... hrabia zaciągnął się cygarem. W jego zlekka przymrużonych oczach, w twarzy całej znać było w tej chwili coś, co pomimo całej różnicy, dzielącej tych dwóch ludzi, czyniło go

podobnym do kamerdynera Jakóba. Mówił jakby z ubolewaniem, kiwając głową: — Przykry fakt. Proszę panów, przykry fakt. Otóż ciało okazuje się silniejszym od ducha, od nas samych; ciało żąda od księcia życia, intensywnego życia, którego ten nie chce. Następuje rzecz zupełnie zrozumiała: książę się broni; usiłuje sobie zohydzić życie, do którego, utraciwszy istotę najukochańszą, nie czuje już prawa. Książę czuje, iż tylko przez zohydzenie tego życia, które może wlec się jeszcze przed nim, zwycięży je, zachowa w sobie ten ból, który w nim zostać powinien; skryształizuje ten ból i zachowa w sobie uczucie do zmarłej w tym stopniu, jak w dniu dla siebie najcięższym. Książę, jadąc do szantanu, chciał zwyciężyć życie. W takiej walce panowie, sympatja może być tylko po stronie człowieka.

Młodzi ludzie milczeli, a hrabia kończąc, mówił:

— Pozostała więc jeszcze tylko kwestja nietaktu. I nie nietaktem była obecność księcia w szantanie, ale brak incognita, ale brak zachowania pozorów względem nas. Książę popełnił błąd, bądź tem, że nam za bardzo ufał, bądź tem, że nas zlekceważył. Książę dziś już wie dobrze, że o tych rzeczach mówi się w klubie i towarzystwach. Dorosły mężczyzna, za jakiego uważam księcia, powinienby bądź to przez zachowanie incognita, zapobiec temu, bądź też postarać się o alibi, którego sędzę, zrozumiawszy jego pobudki,

ani baron Wisel, ani nikt z nas by mu nie odmówił. Tego panowie wymagały, pominąwszy już wszystko, chociażby tylko formy naszego towarzystwa.

Przyznawał mu, iż ma rację, a jednak czuł generał jakiś niczem nieusprawiedliwiony niesmak i niechęć do Artura. Siedział już sam nie wiedząc jak długo, w swym zimnym i sztywnym gabinecie, zawieszonym mapami, na których niebiesko zakreślone widniały jego marsze, kontrmarsze, ofenzywy, całe życie tak szumne i tak różnorodne. Już niewiadomo który raz czytał list Artura, a wciąż jeszcze obracał go w grubych, zreumatyzmowanych podczas północnej wojny palcach. Czuł się źle. Im dłużej myślał nad tym listem, tem bardziej rozumiał go z jednej strony, tem bardziej aprobował go jako generał i jako mężczyzna, lecz z drugiej strony, czuł w sobie jakieś rozdwojenie. — Czuł w sobie, iż jako ojciec Ludwiki, stary, zmęczony ojciec nie znajduje w duszy tego wyrozumienia. Miał wrażenie, iż Artur brutalną ręką jeśli nie rozwiął pewnych iluzyj, to zwrócił jego uwagę na coś, czego oszczędzić godziło mu się jako ojcu, kochającemu i staremu ojcu. A jednak czyż nie był ten list jednocześnie dowodem szacunku i zaufania. Generał wstał. Nie! Artur stanowczo miał rację. Nawet ta sucha for-

ma, którą tak lubił zwykle generał, a która w tym liście ubodła go narazie, znalazła teraz w rozumowaniu swe usprawiedliwienie. Żadnych frazesów, żadnej egzaltacji. Temat sam przez się był tak poważny! tak śmiały, iż wszelkie cieplejsze słowa zakrawałyby na zwykły szantaż. Generał jeszcze raz dobył okularów i przebiegł pismo. Czytał w środku:

— Ojcze! nie chodzi i nie może chodzić w danym wypadku o różnorodność idei. Wychodząc z tego założenia, ludzie tak różni jak my, nie mogliby nigdy z sobą nawet dyskutować, a jednak tak nie jest. Trzeba tylko znaleźć jedną wspólną miarę, miarą taką będzie siła uczucia, jaką wkładamy w cel nasz, czy ideję. Określiwszy skalę uczucia danej rzeczy, możemy wartościować rzeczy najbardziej różnorodne; możemy z całą pewnością twierdzić, iż erotyzm danego człowieka jest większy od uczoności drugiego; rzeczy najbardziej paradoksalne: zemstę z miłością, subtelność i wyrafinowanie, nawet miłość twoja ojczyzny, da się mierzyć z miłością mą do Ludwiki, a twoja strategia może być uznana za lepszą lub gorszą od mego małżeńskiego pożycia. Jest to dla mnie rzeczą nieulegającą wątpliwości. Na tej podstawie piszę do ciebie ten list.

Generale! wtedy, gdy wracałeś po przegranej wojnie północnej, wracałeś z resztkami armji do kraju; wtedy, gdy skutki przegranej, głód spowo-

13/II 29
Sg.

dowały w ojczyźnie, wtedy, gdyś stracił swą sławę, swą popularność i zaufanie, przecześ nie skończył z swem życiem. Czy lęk cię powstrzymał od tego?... czyś może tylko chciał osobiste ratować ambicje? Nie, wiem dobrze, że tak nie było. Za często chodziłeś za pan brat ze śmiercią, za często narażał swe życie, by lęk mógł cię od samobójstwa powstrzymać. Ambicje... Nie, i to też miejsca nie miało. Ty byś nie wyniósł swej dumy obrażonej, nad rozmiar nieszczęść innych, których pośrednio stałeś się przyczyną. No więc? Wracaleś chory, pochmurny i sam, tak sam, jak ja teraz jestem. Coś zupełnie innego trzymało cię wtedy przy życiu. Oto tysiączne trupy twych żołnierzy, tysiące rannych i okaleczonych, którzy po nędzę wracali do ojczyzny, nie zdołały cię zmiażdżyć zupełnie. — Została jakaś reszta. Wiem kiedyś poczuł w sobie tę resztę, kiedyś ją uświadomił w sobie.

Pamiętasz kwaterę w plebanji? Całą noc przesiedziałeś przy świecy sam, gdyż ja spałem oddawna, na nieposłane rzuciwszy się łóżko; zresztą to detal, spałem wtedy czy nie, i tak byłeś sam. Nagle! Pamiętasz napewno ten okrzyk: — Panie adjutancie! (gdy byliśmy sami już wtedy mówiłeś mi zawsze po imieniu) jutro pan sprawdzi stan ludzi zdrowych, rannych, stan amunicji i wiewendy; wieczorem poproszę o sprawozdanie. — Generale! czyś potrzebował wtedy tego: sprawo-

zdania... Nie. Słowa twoje, były dla ciebie samego czemś bardzo banalnie pustem, a jednak wypowiedziałeś je zdecydowanie, donośnie. Co ci podyktowało te słowa?... Właśnie ta reszta! Czyż nie lżej, nie łatwiej było odebrać sobie marne, bezwartościowe, obrzydzone, bez celu życie? Bez wątpienia tak byłoby lżej, a jednak?... Takim postępkim zasłużyłbyś sobie na wdzięczność, na miłość narodu. Byłbyś w przyszłości dla swego ludu sztandarem złamanym, a niepomszczonym; może bohaterem... Nie, na toś był nazbyt uczciwy. Za uczciwy byłeś, by zbierać owoce, nie w pełni nań zasłużywszy. Widać nie umarłeś zupełnie ze śmiercią tych tysięcy, ślepo wierzących w ciebie ludzi. Została jakaś mała, śmieszna reszta. Czyż odbierając sobie życie, nie oszukiwałbyś ich i nie bezczęścił ich cieni... W miesiąc później byłeś już w stolicy, jak dawniej, w sztabie, w swym gabinecie. I gdyby wtedy, nie, gdyby teraz jeszcze, po wszystkich późniejszych twych zwycięstwach, triumfach! ktoś przypomniał ci twą chwilę klęski, zarzucił ci, żeś zlekceważył swem życiem pamięć tych wszystkich poległych; czy ty byś przystał na to? Wiem, wiem na pewno, że nie! Tyś klęskę swoją ocenił należycie. Z tą klęską zamknąłeś jeden być może najboleśniejszy okres swego życia, który w swej duszy zachowywasz w całości, gdyż czas nie umniejsza, nie profanuje tego, co stoi poza życiem. Nie życie twoje,

lecz twoja śmierć byłaby kompromisem. Wszedłeś w inny etap, w okres triumfów, z tą śmieszną, małą resztą. Ja jeden wiem, że takżeś był powinien.

W mauzoleum^u mej duszy kryje się cała miłość moja, całe szczęście i rozpacz po Ludwice. Zamykam je, sam będąc w tej chwili. Zamykam nawet przed tobą! A teraz stoję już gdzieś za wrotami i idę po stokroć uszczuplony, po nowe, dziś całkiem mi obojętne jutro. Może ta reszta i mnie da jeszcze kiedyś triumfy; może ich zacznę szukać już jutro! ten sam i różny już zupełnie. Wyjeżdżam... Generale! w chwilę po wielkiej swej klęsce, twój dawny adjutant nie prosi cię o pomoc, lecz o to, byś podał mu rękę!

Artur książę Słogocki.

Generał skończył: I kto tu dziś właściwie powinien być czym adjutantem. — Generał zrozumiał wszystko. Zrozumiał ten list i rozumiał siebie, tego siebie z przed laty, do którego aż dotąd czuł pewien żal. Artur mu wytłomaczył. Niebieskie i czerwone linje, pstrokate chorągiewki na mapach, znowu przykuły wzrok generała. „Jak jednak imponujący był ten Słogocki i do jakiego stopnia zdecydowany“. I zdało się ojcu Ludwici, że widzi Artura przy tych mapach jak w general-skim mundurze, coś kreśli na karcie, przesuwając Sznurki, sznureczki, chorągiewki, armje i fronty

całe, a on? generał jest adjutantem. Stoi wyprostowany i podziwia spokój Artura, podziwia każdy ruch, tak teatralnie nie teatralny, tak pewny siebie, zdecydowany. — Dywizja 3-cia tu uderzyć musi — powiada Artur. — Rzecz prosta, „musi“. — Generał, co tyle rozkazów wydawał, pierwszy raz w życiu czuje jasno zupełnie, że rozkaz jakiś być musi. Dlaczego?... Ach, przecież jest zupełnie słuszny! Szaro już było na dworze, gdy generał wstał od biurka. Począł przechadzać się po gabinecie. Tak, teraz przypomniał sobie już na pewno; na ten temat były już jakieś rozmowy, nawet w klubie podobno Luboński... No, Luboński, pół biedy. Generał znał takt hrabiego i nie obawiał się zbytnio. Poza tem jednak trzeba, nie zwlekając, zająć się tem wszystkiem, pozamykać usta, przypudrować konwenansem. Jako ojcu Ludwici przyjdzie mu to łatwiej niż komu innemu. Tu stanął pośrodku pokoju: Przypomniały mu się dawne czasy, ha! jak dawne. Inne, zupełnie inne szlify nosił wtedy. Pracował w ministerstwie i wielbił wraz z innymi młodymi oficerami Horberta, ówczesnego ministra wojny. I było wtedy tak: Horbert reformował armję, powiększał ją wbrew parlamentowi, wbrew ministrom, wbrew kalkulacjom skarbowym. Horbert nie liczył się z niczem, nawet z tem, że przeciwnicy mogą go obalić. Lecz młodzi, uczciwi ludzie, dzielni jego oficerowie wielbili ministra. Generał

przypomniał sobie te dawne czasy. Horbert wypracowywał projekt jakiejś ustawy, a oni za cel stawiali sobie podać ją tak i puścić w świat, by nie spaczywszy jej, przeforsowaną być mogła. Była to ciężka praca, której minister zdawał się prawie nie spostrzegać, o którą nawet nie prosił. W tem może tkwiła siła i szczęście Horberta?... Tak, bezwzględnie. Lecz oni, ci młodzi oficerowie, wierzący ślepo w ministra w tej ciężkiej pracy, w tej zapobiegliwości, widzieli wszystkie swoje ambicje. Ta ciężka praca, była dla nich nicią, wiążącą ich z genialnym ministrem. Generał dzisiaj dopatrzył się w tem jakiejś analogji. — A miałem wtedy lat? — pomyślał... Dwadzieścia osiem... A dziś? — nacisnął guzik elektrycznego dzwonka; oficer dyżurny wpadł do gabinetu. — Panie poruczniku, pan zarządzi dziś dla mnie konia. — Generał pierwszy raz od śmierci córki, wybierał się na swój dawny, codzienny spacer.

— — — — —
Pięć lat minęło od wyjazdu księcia ze stolicy, a nikt nie wiedział na pewno co się z nim dzieje. Czasem tylko w prasie pojawiały się wzmianki, czy artykuły, które świadczyły, iż żyje i interesuje się życiem. Oto na przykład donosiły, w rok po wyjeździe księcia dzienniki, iż w willi swojej w Florencji urządził wystawę miniatur, ze „zbiorów własnych i wypożyczonych“. Wystawa ta

miała być bardzo ciekawą, a to z powodu doboru rzeczy najbardziej typowych, bądź też najbardziej oryginalnych, dających zupełny całokształt przejawów sztuki w tej dziedzinie. Profesor piszący artykuł o niej, zastanawiał się i wyrażał nad wyraz pochlebnie o wiedzy księcia w tym kierunku. Wystawa — pisał — jedyna w swoim rodzaju, daje nam dowód, ile pracy, wiedzy i naukowej metody wymaga jej zorganizowanie. Nie za upodobanie więc i nie za koszt, na które bądź co bądź książę mógł sobie pozwolić, należy mu się nasza wdzięczność. Wdzięczność nasza należy mu się właśnie za to, iż wzgardziwszy taniem efekciarstwem, właściwem podobnym prywatnym imprezom, zadziwił nas swem bezwzględnem oddaniem się nauce i sztuce.

W jakiś czas później, czytano jeszcze w stolicy o kilku fundacjach księcia; raz nawet dłużej na ustach było jego imię i w niezbyt przychylnych warunkach. Oto, dowiedziano się, iż wszystkie swe poprostu bezcenne płótna szkoły staroholenderskiej, rozporządził sprowadzić zagranicę, uzupełniając w ten sposób jakieś obce muzeum. W rok później hrabia Luboński oznajmił w klubie słowa zasłyszane od generała, iż książę Artur wyjechał na lat kilka do Indyj. Od tej pory nie więcej nie słyszano o nim już w kraju. Czy miał zamiar kiedyś powrócić?... Jeżeli kto o tem wie-

dział, to chyba tylko generał, z którym jedynie, zdaje się, książę utrzymywał kontakt. Wiadomem było tylko to, iż ani pałacu w stolicy, ani rozległych swych włości, nie sprzedał. Nie miał dzieci, może więc miał zamiar wrócić, a może zapisać komuś z dalszej rodziny.

II. C Z E Ś Ć.

— Zapewne ważne interesy wzywają księcia do kraju?

— Zupełnie nieważne Miss; prosta ciekawość. Nie byłem w kraju 5 lat.

Piękna Amerykanka uśmiechnęła się. W takim razie nie rozumiem zupełnie, dlaczego książę wzgardził komfortowym statkiem i tak napierał się jechać naszym jachtem. Jestem przekonana, iż Atlantyk najdalej za kilka dni zawinie do portu. Tymczasem w najbardziej sprzyjających warunkach, my za trzy dni będziemy dopiero w Bombaju; tam również książę będzie musiał czekać. Bezpotrzebnie naraził się pan na niewygody.

Słogocki strząsnął popiół z papierosa i rozparłszy się w trzcinowym fotelu, wzrokiem dał jasną, a jednak dyskretną odpowiedź swej rozmówczyni, iż nie zupełnie bezpotrzebnie. — Poza tem — zaczął po pauzie — to, że nie spieszy mi się do kraju, nie dowodzi bynajmniej, bym mógł już dłużej tu pozostawać. Każden dzień w Indjach byłby dziś dla mnie nieznośny.

Młoda miljonerka roześmiała się nagle. — Więc książę cierpi na spleen. Z początku było tu dobrze, aż wtem, bez powodu... Muszę przyznać, iż

gdys papa tu na pokładzie przedstawiał mi księcia, wydał mi się pan pod tym względem zupełnie różnym od większości przedstawicieli tej uprzywilejowanej rodziny, do której pan należy.

Słogocki słuchał uśmiechając się i patrząc gdzieś w dół na fale, prute dziobem statku. Myślał w tej chwili zapewne o swych bezcennych zbiorach, zdobywanych z takim trudem przez te całe pięć lat. Lecz dla pięknych kobiet miał zawsze uśmiech. Nie, Miss — zaczął mówić jak zwykle wolno — nie cierpię na spleen, wprost przeciwnie, wyjazd mój mógłby być raczej dowodem pełnego u mnie pod tym względem zdrowia. Nie wiem, czy uwierzysz pani, lecz nie szukając bynajmniej towarzystwa, nie nudziłem się tutaj ani dnia. W ciągu mojego kilkoletniego tutaj pobytu, nietylko poznałem całą angielsko-indyjską prezydenturę wraz z wolnymi szczepami od zatoki Bengalskiej do Arabskiego morza, lecz pochwalam sobie, iż i Indochiny, w których pani przyszła już na świat, znam od niej stokroć lepiej. Pani wybaczy ambicji turysty, lecz wątpię, by przebiegła pani jak ja góry: Arakan-Joma, lub Pung-Lung. Wątpię też, aczkolwiek wychowała się pani na plantacji, czy poznała pani do tego stopnia wszystkich tych Mongołów i Malajczyków, zatrudnionych przez jej ojca. Lecz wkońcu wszystko przemija i tak właśnie przeminęło i to.

Tak, było to przedwczoraj; poczułem poprostu, że nie mam tu co robić. Cała psychika tych ludzi, Indochińczyków, pogan Indusów, znużyła mnie w jednej chwili. Poznałem, iż wchłonałem już wszystko, to co mogłem być w siebie wchłonać. Każdy dzień następny, byłby zmarnowany bezpowrotnie. Wie pani — ciągnął Artur — mam zwyczaj decydować się bardzo szybko. Czyż nie uważa pani tego za słuszne? Pani, należąca do tej innej, silnej, jak pani użyła zwrotu, rodziny?...

— To, co pan powiedział, potwierdza tylko moje mniemanie. Taka nagła decyzja bywa często właśnie objawem choroby, o której wspomniałam. Książę mógłś obawiać się poprostu, iż pozostawszy dłużej na miejscu, zanudziś się na śmierć.

— Absurd. Tego właśnie wieczoru ujrzałem panią w „Grand Hotelu“, raz pierwszy. Przyzna pani, — tu książę w ukłonie schylił głowę, iż chęć poznania tak pięknej jak pani kobiety, mogła mnie co najmniej rozerwać, a jednak nie wiedząc nic, iż pani opuszcza Indje, nie zmieniłem swego zamiaru. Poprostu zdałem sobie sprawę, że okres mego tutaj pobytu już się dla mnie skończył. — Książę uśmiechnął się patrząc gdzieś w morze, ale już tylko do siebie.

— Więc książę dzieli życie na okresy?

— Bezsprzecznie.

— I nie sądzi pan nigdy, że tego rodzaju życie,

jest życiem nie pełnem, nie twórczem. Książę pan się nie obrazi — jest formą życia nie najwłaściwszą dla mężczyzny. Książę wciąż uśmiechał się w głąb morza — począł mówić cicho, jakgdyby tylko do siebie: Nie pełnem, czy dlatego, iż jest coraz nowe, więc i zawsze intensywne; nie twórczem, czy dlatego, że nie pozwala na przeżycie się pewnych ideałów, bezwzględnych wartości — wzrok księcia spoważniał. — Miss! jest to jedyna forma życia, godna prawdziwego mężczyzny.

Z dalekiego kraju horyzontu, wyblysnął srebrny pas światła i przebiegłszy mil sto, padł na drewniane deski pokładu. Mewy zniżyły swój lot, trzepocząc się nad masztami, lub pieszcząc aksamitnem skrzydłem lustrzaną taflę morza.

— Spójrz książę, księżyc wschodzi.

Powoli wynurzać się poczęła z wody jasna tarcza miesiąca. Było tak cicho, tak dobrze na morzu. Miss Jenny i Słogocki milczeli czas jakiś, wdychając ciszę i spokój tej nocy.

— I książę myślisz?

— W tej chwili już nic nie myślę pani, odczuwam.

— Jeszcze lepiej. Więc na przykład, gdy książę odczuwasz kojący spokój takiego wieczoru, odczuwasz wielkie zadowolenie w patrzeniu się, przypuśćmy na tę tarczę księżyca; czy wtedy, gdy zdasz sobie sprawę, że jest godzina późna, przy-

puśćmy ta, o której udajesz się na spoczynek; książę wstajesz i tak poprostu odchodzisz?...

— Rzecz prosta, jednak tylko w tym wypadku, gdy chęć snu jest u mnie silniejszą od chęci obserwowania tego widoku. Obawiam się wszelako, iż pani urównoznacziła okres z chwilą, lecz i to uproszczenie przyjąć jestem gotów. Niech pani sobie wyobrazi — książę ożywił się nagle. W świetle miesięcznej poświaty, Miss Jenny ujrzała jego błyszczące, stalowe oczy. Książę mówił: Stoję na tym pokładzie i patrzę w wschodzący księżyc; żyję okresami, w tym wypadku chwilą, co to znaczy? Znaczy, iż uzgodniłem mą duszę, stworzyłem nastrój właściwy danej okoliczności, zharmonizowałem się z czemś. Nagle, proszę wybaczyć szczerłość, przybliża się pani kuzyn. Niech pani uważa: Pani kuzyn porusza inny temat, który absorbuje go najwięcej i w tej chwili mówi na przykład o ostatnich dochodach z plantacyj. I co się dzieje? W moją harmonję wkrada się jakiś zgrzyt, coś się psuje, coś brutalnie przywołuje mię do rzeczywistości innej, obcej, nie takiej, jaka nastąpić powinna; mało, ta rzeczywistość psuje mi humor, tem samem wkrada się jakiś sceptycyzm. Zaczynam bagatelizować sobie wartość uprzedniego nastroju, obrzydzać go sobie. I w konsekwencjach co?... Tracę go, tracę go bądź bezpowrotnie, bądź na czas dłuższy, dopóki podczas drugiej, podobnej nocy nie zapomnę o doznaniem

ongis rozczarowaniu. To jest to, czemu hołduje, być może nieświadomie, pani, Miss Jenny. To wcale nie jest ładne i bardzo śmiesznie niewygodne. Dajemy z siebie coś, niby dla czegoś, nie otrzymujemy nic, a to coś tracimy. Tymczasem ja w podobnej chwili, nie słuchałbym pani kuzyna; odszedłbym poprostu. Z czym? Jeżeli chodzi o dzisiejszy nastrój, z ostatniem spojrzeniem księżycy i z jego pocałunkiem. — Artur oparty o barięre ciągnął, patrząc z poza przymkniętych powiek. — I co? Przerwałbym coś we właściwym czasie, a nawet przerwałbym pozornie, nie w zupełności, bo jednak coś wziąłbym z sobą.

— Co? —

— Wziąłbym bezpowrotnie ten wieczór dla siebie, takim, jakim nietylko był, lecz jakim chciałem, by był. Srebrzy się morze księżycem, srebrzą się nim pani włosy, bo ja już bez tego mam srebro na skroniach, Miss Jenny...

...Powiedział mi pan jednak dużo przykrych rzeczy. Książę zbyt oczerniasz mojego kuzyna.

— Nie, pani, to tylko księżyc w danej chwili nie raczy go w moich oczach swym blaskiem. Sądzę, że jednak — książę przeciągnął się w fotelu — gdzieś na plantacjach bawełny w swym jasnym kostjumie, w tym samym blasku księżycy cudownie odbijałby ten młody chłopak od ciemnych postaci murzynów,

— Dobranoc mister. Ostatnie moje słowa popsuły panu nastrój; przyznaję bardzo ciekawy, lecz zbyt filigranowy, zbyt filigranowy książę. Jestem Amerykanką; podała mu rękę i miły uśmiech na pożegnanie.

— No więc?

— Nic nie wiem.

— Ależ dlaczego, jeśli statek nie uszkodzony, zwinęliśmy żagle.

Mister Johnson pytał dorywczo, kapitan zaś zdawał się być cośkolwiek zdezorientowany.

Miss Jenny i jej kuzyn Otto z zaniepokojeniem patrzeli na obydwóch.

— Nic nie wiem — powtórzył, jakby do siebie, kapitan, nagle zwrócił się do pryncypała: — Kazałem zwinąć żagle, by choć na razie zapobiec niebezpieczeństwu. Teraz otarliśmy się o jakąś rafę, lecz jadąc z dotychczasową szybkością możemy się rozbić o drugą — tu stary kapitan zaklął. — W obecnej sytuacji jesteśmy, mówiąc krótko, na łasce i nielasce tego przekłętego morza i tylko jakiś statek mógłby nas wyratować z kłopotu, a i to nie wiem czy na długo. Zresztą statek... — spojrział do księgi raportów — przechodzić będzie dopiero jutro, a wobec tej sytuacji jaka tu panuje, nie wiadomo wogóle, czy będzie przechodził w ta-

kiej odległości, że będziemy w stanie skomunikować się z nim. Niech to piorun spali!

— Ale skąd te rafy — pytał mister Johnson — do najwyższego już stopnia zniecierpliwiony.

Kapitan rozłożył ręce. — Nie wiem, nie wiem nawet co przypuszczać. Wiem tylko, iż wyspy, pomiędzy którymi przepływamy nie są wyspami Goa, na które wyjechawszy wczoraj z Cananore powinniśmy już dawno natrafić.

— Więc kiedyż możemy być w Bombaju?

— W Bombaju? Mówię przecież, iż jeśli byłaby to Goa, to z Pandżymu do Bombaju mielibyśmy tylko dzień drogi. Nasuwa mi się jednak przypuszczenie, iż pomimo, że mamy październik musson nie skończył się jeszcze i jego to powiewów doświadczaliśmy w nocy. Psia krew! — kapitan nie ukrywał swej złości. — Znam przecież doskonale całe Arabskie morze i nigdy w tem miejscu nie zdarzyło mi się natrafić na rafy pod samą będącą powierzchnią.

— Jeżeli ja mogę przypuszczać — książę Artur znalazł się przed obecnymi — to przyjąwszy za założenie słowa pana kapitana, iż w nocy powodował nami musson i rzecz prosta, jak to jedynie możliwe, południowo - zachodni; jesteśmy teraz gdzieś w bliskości wielkiej drogi Aden-Colombo, to znaczy się już na oceanie Indyjskim.

— Nonsens — kapitan lekceważącym wzrokiem obrzucił księcia.

— Przyjąwszy to bez zastrzeżeń, — cedził twardo Słogocki — jako jedyne umotywowanie kierunku zboczenia...

— Ha! ha! Ładnego zboczenia!

— Jeśli kapitan woli, cofnięcia się o dzień drogi, obecność raf będzie w zupełności usprawiedliwiona.

— A to jakim sposobem, jeśli wolno zapytać księcia pana?

— Takim panie marynarzu, iż powinno być to dla pana wiadomem, że w bliskości drogi, o której już wspomniałem, znajdują się koralowe wyspy Lakkadiwy, otoczone całą gromadą raf.

Kapitan ze złością przyznawał w duchu, iż przypuszczenie księcia mogło być słuszne. Odparł jednak nie zmieniając tonu:

— W takim razie znajdowalibyśmy się ciągle na jednej linji z miejscem, z któregośmy wyruszyli, to jest z Cananore?

— Bezwątpienia, i w odległości mniej więcej trzystu kilometrów.

Hugo Wels zaklął po raz trzeci, jak poganin. Ten młody arystokrata nie tylko iż miał jedynie logiczne przypuszczenia, lecz w obliczeniach swych był zupełnie ścisły. Wels trzydzieści lat temu sam jeździł na Lakkadiwy na Kan Ratlea i sam widział te rafy.

— Czy pan sądzi kapitanie, że rafa o którąśmy uderzyli była pływająca czy nieruchoma?

— Stanowczo nieruchoma.

— Tem bardziej — ciągnął książę. — Moga jednak istnieć jeszcze i rafy pływające.

— Zaraz zaraz! — Kapitan chwycił za lunetę: patrzył przez chwilę, następnie zakrzyknął — są i pływające, ma pan rację. Mogę jeszcze tylko stwierdzić, iż ten wiatr, który znów się zrywa — ach, ten wiatr — podniósł rękę — ten wiatr może napędzić na nas rafę.

Wszyscy z obecnych, podniósłszy do oczu lornetki, obserwowali czarny zbliżający się punkcik.

— Kapitanie! każ rozwinąć żagle i uciekajmy — krzyknął mister Johnson.

— Nie sądzę — mruknął do siebie książę, tak, iż usłyszała go tylko najbliższej stojąca miss Jenny.

Kapitan stał bezradny. Miss Jenny odruchowo zwróciła się do Artura: — A pan co radzi książę?

— Ja nic nie radzę; jestem tylko tu gościem, mogę najwyżej sądzić.

— A sądzi pan? — pytał kapitan.

— A sądzę, że dobrze jest uciekać, gdy się wie, gdzie się ucieka, lecz jeśli pójdziemy z wiatrem, to jest w kierunku południowo-zachodnim, wpadniemy w sam środek Lakkadiwy, a co zatem idzie i raf. Szybkość, jakiej nabędziemy w tym czasie i brak silnego motoru uniemożliwi nam bezpieczne wylądowanie, gdy zaś postąpimy inaczej wtedy...

— Wtedy?

— Wtedy zwalczając wiatr i idąc — książę podniósł lornetkę do oczu — lewym halsem, tak, lewym halsem, wyjdziemy narazie cało.

— To narazie, a dalej? dalej! — krzyczał już prawie kapitan.

— A dalej? — Książę odjął lornetkę od oczu — na ustach miał uśmiech — dalej kapitanie na-dejdzie noc i wszyscy będziemy jednakowo mądrzy. — Z tym samym uśmiechem złożył lornetkę na stole i lekko zstępując z górnego pokładu, udał się do swojej kajuty. Zamykając drzwi, uczuł, że statek zmienia kierunek na lewo.

W dwadzieścia minut potem wielka rafa, w odległości kilkuset metrów, od prawego przepłynęła burtu. Lecz mimo to sytuacja nietylko nie poprawiła się, ale wprost przeciwnie, na horyzoncie pojawiać się poczęły coraz nowe punkciki. Były to dalsze, pływające rafy. Wiatr nie zmieniał kierunku, rafy zaś, powiększając się w oczach, płynęły wprost na statek, który wciąż jeszcze, idąc lewym halsem, usuwał im się z drogi. Wkrótce jednak kapitan spostrzegł się, że nie zdoła i w ten sposób wybrnąć z sytuacji; rafy zbliżały się coraz bardziej, było ich coraz więcej i szły coraz szerzej, jakgdyby flankując wątki, do wybrzeżnych podróży przeznaczony, jacht.

Koło godziny 5-tej kapitan zwątpił już, by cokolwiek mógł zapobiec katastrofie. — Jesteśmy zdani na ślepy los. — Zszedł ze swego stanowiska.

Dopóki jeszcze coś robił, czemuś przeciwdziałał, załoga i tych kilku pasażerów, zdołała jako tako utrzymać swoje nerwy, teraz jednak zapanowała jakaś dziwna gorączka. Nawet majtkowie nie mogli sobie znaleźć miejsca i przemierzali szybko pokład, jakby spiesząc się do czegoś. Mister Johnson stał bezcelowo przy sterze. Jechali jeszcze ciągle lewym halsem, choć było już rzeczą całkiem jasną, że nie umkną przed atakiem raf; nie zdążą.

— Jak prędko natkniemy się na nie?

— Przy obecnym wietrze o jakiej 6-tej; przy wzmożonym, już może za pół godziny.

— A wówczas?

— A wówczas? Sam pan widzi — kapitan rozejrzał się, czy nikt ich nie słyszy. — Może cudem.

Mister Johnson tarł dłońmi swe skronie. Nie bez słuszności uważał się za najwinniejszego. Gdyby nie jego niedbalstwo, wówczas możnaby, chociaż w ostatecznej chwili, pomyśleć o ratunku. — A może napotkamy jeszcze jaki statek?

— Wykluczone, żaden statek nie puściłby się pomiędzy te rafa. — Kapitan począł strzelać w palce.

Załoga unikała wzajemnych spojrzeń. Nikt w niczyich oczach nie mógł dopatrzeć się pociechy. Przy burcie, w tę i w tamtą stronę latał Otto, tem więcej zrozpaczony, że bezradny. Miss Jenny oparta o poręcz, stała drżąc na całym ciele, usiło-

wała być spokojną, lecz z oczu jej płynęły łzy. Nagle Otto zatrzymał się przed nią:

— Wiesz, jedyna nasza szalupa, jedyna motorówka zepsuła. Stryj przed wyjazdem nie spytał o nią nawet. Nie była oddana do reperacji. — Stał przed nią, nie licząc się z jej łzami, nie licząc się z tem, że drżała na całym ciele; stał napelniając ją własnym łękiem i nie zastanawiając się nawet nad tem. Ten chłopak wiecznie pełen czynu, nie mógł się nawet na sekundę opanować.

Miss Jenny próbowała się uspokoić. — Co robi książę?

— Nie wiem — zamknął się u siebie w kajucie.

Miss Jenny szybko udała się w stronę kajut, lecz właśnie gdy schodziła po schodach, Słogocki zastąpił jej drogę. Szybkiem spojrzeniem ogarnął jej postać:

— Miss Jenny, trochę więcej panowania nad sobą. — Lecz ją rozdrażnił ton tego człowieka. Jak dotąd broniła się jeszcze przed czyjąkolwiek pomocą.

— Nic dziwnego — odparła — żyję według recepty księcia chwilą, ale czemuż to przypisać, iż książę w tak ważnej chwili ucieka przed nią do kajut.

Słogocki rozśmiał się szczerze. — I znowu jest pani w błędzie. Bynajmniej nie uciekam przed żadną chwilą. Robię to, co w danym momencie jest do roboty najważniejszego.

Młoda Amerykanka usiłowała się opanować. — W takim razie może książę zechciałby służyć wskazówkami memu kuzynowi, bezsilne wyczekiwanie denerwuje go w najwyższym stopniu.

— Przykro mi bardzo pani, lecz kwestja ważności zadań jest w tym wypadku czysto subiektywna i zależna wyłącznie od indywidualności.

— Można wiedzieć jednak, co książę robił cały ten czas?

— Jeśli to panią rozerwie, proszę bardzo — podał jej rękę, gdy przechodziła przez stos lin i prowadził ją umyślnie w dół pokładu, gdzie dwa dni temu, siedzieli rozmawiając wieczorem, na trzcinowych fotelach, a gdzie teraz było pusto. Spokój księcia zwolna udzielać zaczął się i Miss Jenny. Książę podsunął jej fotel... Usiedli.

— Co robiłem, pytała się pani. Otóż nic nadzwyczajnego, pakowałem się.

— Poco? w takiej chwili?

— Właśnie w takiej chwili. Ściemnia się — mówił książę — rozglądając się po niebie. Bawiąc przez 5 lat w Indjach, nabyłem i kolekcjonowałem bardzo dużo i bardzo wartościowych drobiazgów. Indie są niewyczerpaną skarbnicą pod każdym względem. — Uśmiechnął się — figurki, figureczki.

— Ależ panie! — krzyknęła młoda panna — za pół godziny, najdalej za godzinę, te wszystkie

pańskie figurki razem z panem i z nami wszystkimi, mogą pójść na dno!

— Właśnie, doceniając pani przypuszczenie, upakowałem co najcenniejsze rzeczy w stalowy kuferek, starając się go jak najlepiej zabezpieczyć od dopływu wody. Proszę panią, dla historyka sztuki, jeśli te rzeczy zostały kiedy wydobyte, będą miały większe znaczenie, niż życie każdego z nas. Moja, że się tak wyrażę mrówcza praca na Elefoncie i w napół już rozsypanym Elbore, wydała wcale piękne rezultaty. Nie uwierzy pani, jak wysoko stało u Hindusów malarstwo ścienne i jakie piękne szkice wiozę z sobą. Przytem w tym kufrze, znalazłaby pani nad wyraz ciekawe złomy ornamentacji, co zadziwiłyby panią śmiałością kompozycji; znalazłaby pani posąg stwórcy człowieka wielkiego Brahmy i idąc wzrokiem przez wszystkie dobre bóstwa aż do samej Aditi, zaczęłaby pani od Diti zagłębiać się w dzieje ciemności. — Artur zamyślił się, cały pochłonięty tematem, który poruszył. Bądź co bądź pasjami lubię sztukę — uśmiechnął się. — Pani to się może wydać błahostką, ale proszę mi powiedzieć, kto z obecnych przez ten cały czas zatłowił choć najmniejszą błahostkę. Jacht jak szedł, tak dalej lewym idzie halsem.

Miss Jenny, pomimo grozy sytuacji, patrzała jednak z podziwem na księcia. — Książę wyciągnął rękę:

— Pomyliła się pani. Wiatr słabnie, mamy przed sobą w tych warunkach przynajmniej pół godziny więcej czasu do zetknięcia się z rafami, a więc i do milej rozmowy, jeśli naturalnie nie ma pani co innego do roboty. — Nagle wzrok Artura pobiegł w kierunku głównego masztu. — Nie rozumię, dlaczego kapitan kazał rozwinąć żagle. Widzi pani, rozwijają je zupełnie i motor został wstrzymany. Chodźmy, dowiemy się. Wstali i szli ku środkowi statku.

— Czy pan uważa, że to może co zaszkodzić?

— Bez wątpienia, że tak.

— W takim razie niech pan powie papie, a papa nakaże...

— Och, pani, tylko nie „każe“, nie chciałbym w takiej chwili wkładać się w kompetencje kapitana; postaram się sam przekonać go.

Dziwny spokój wstąpił w duszę Miss Jenny. Ten człowiek zdołał zupełnie przywrócić jej równowagę i czem? Przecież nawet nie starał się zaprzeczać niebezpieczeństwa. — Książę tymczasem zwrócił się do kapitana:

— Czy nie zechciałby mię pan poinformować dlaczego pan kazał rozwinąć żagle?

— Nie jest to najwłaściwsza ku temu pora. — Po ustach księcia przemknął uśmiech. — Lecz jeśli pan sobie życzy prosię, to bardzo jasne; idąc lewym halsem nie umkniemy już i tak przed ra-

fami, tymczasem idąc z wiatrem zyskamy na czasie.

— Ale rafa i tak z wszelką pewnością dościgną nas w nocy.

— A tak będziemy je tu mieli za pół godziny — kapitan wskazał ręką w kierunku północno-zachodnim.

— Ale panu Johnsonowi i jego córce zależy, zdaje się, nie na tem, by odwlec rozbitcie statku, lecz by mu zapobiec.

— A pan ma może radę? — kapitan przymrużył oczy — w kątach jego ust skrywała się hamowana pasja.

— Tak jest, lecz spytam naprzód pana, czy w swojej karierze morskiej wolisz pan rezygnować czy ryzykować?

— Ryzykować, do diabła!

— W takim razie, każ kapitanie puścić motor i jechać wprost na te rafa, a spotkamy je za 15-cie minut.

— Żarty! Pan śmiesznie żartuje.

— Myli się pan, kapitanie, na statku jest dama. Jeżeli żagle zostaną rozwinięte, opóźnisz pan katastrofę, lecz statek ma 20 razy więcej szans rozbicia się. Jadąc zaś wprzód, przy słabym wietrze, możemy jeszcze lawirować.

Kapitan patrzył długi czas przed siebie, zdając się nad czemś namyślać, wkońcu spytał wręcz:

— Proszę księcia, ile podróży odbył książę w swem życiu?

— Cztery. Dwie przez Atlantyk, jedną przez Spokojny i dwa miesiące lawirowałem kutrem na Lodowatym.

Kapitan podniósł brwi — książę wybaczy zwrot zbyt może nieodpowiedni, wysokiej jego godności, lecz mówię teraz do marynarza: Za dobrą radę dziękuję koledze i nie zapomnę. — Rzykujemy — puszczać motor!...

Na statku było już teraz dwóch spokojnych zupełnie i opanowanych ludzi: pierwszy, który paląc cygaro w towarzystwie kobiety siedział w tyle pokładu, drugi ćmiąc fajkę, kierował sam sterem, pod czarne raf morskich cienie.

— Jednakże książę na wszystko zwraca uwagę — mówiła młoda kobieta, patrząc na Słogockiego.

— Ach, Miss Jenny, życie jest tak ciekawe we wszystkich swoich okolicznościach, iż byłoby prosto zbrodnią lekceważyć je sobie w czemkolwiek. Przytem — książę spojrzał gdzieś daleko; — dla mnie życie, to cały szereg rebusów, bardzo ścisłych matematycznie rebusów, które mamy do rozwiązania.

— Czyż wszystko w życiu przedstawia się dla księcia tak logicznie?

— Zupełnie miss Jenny, nawet kwestja względności, która tak absorbuje niektóre umysły, ma

tutaj dla mnie zupełne optymistyczne wytłomaczenie.

Nagle głośny szum morza i silniejsze kołysanie zwróciły uwagę rozmawiających.

— Widzi pani, wjeżdżamy między rafy. No, ten pierwszy korytarz jest dla nas dość szeroki i kapitan da z nim sobie radę.

Dwa czarne potwory wylonily się po obu stronach statku z ciemności. Były to olbrzymie rafy.

— Niech pani tak nie drży. Gdyby nie świadomość tego, iż te góry płyną i że grozi nam od nich ewentualna śmierć, patrzyłaby pani na nie, zupełnie innym wzrokiem. Czasem logika nakazuje nam w pewnych okolicznościach nie dostrajać swych nerwów, zaznaczam, tylko nerwów do tych okoliczności. Czynić powinniśmy to dlatego, iż nerwami najłatwiej jest przecenić jakąś sytuację, a tego stanowczo człowiek rozumny czynić nie powinien.

— Gdy jednak sytuacja, rzeczywistość sama jest nazbyt groźna? — Miss Jenny odruchowo przysunęła się do księcia.

— Wówczas miss, proszę uważać, tej rafy, którą mieli po prawej stronie burtu już niema, minęliśmy ją i minęła straszna rzeczywistość. Niech pani posłucha: W tym kuferku, o którym wspomniałem, w szeregu różnych bóstw, mam aż pięć figurek, przedstawiających boginię Maję, Wszystkie te figury są różne, zależnie od tego

w jakiej powstały epoce. Mam boginię siedzącą na kwiecie lotosu i na orle, z Kamą i Trimutri. Panią dziwi, co za związek może to mieć z naszym tematem, z rzeczywistością? Maja jest boginią świata rzeczywistego, widzialnego i rzeczywistości, lecz dla braminów rzeczywistość jest tylko indywidualnem złudzeniem. Niech pani uwierzy, iż jest to dobre bóstwo, i niech pani w takie uwierzy złudzenie, zwłaszcza, iż za chwilę pograży się ono we mgle. — Pani pozwoli, iż pobiegnę na chwilę do kapitana. — Książę oddalił się szybko:

— Kapitanie! widzi kapitan, co się dzieje?

— Już widzę. Ta mgła może nas zgubić i biorąc na trzeźwo, jeżeli natrafimy na zwarty szereg raf, zginiemy jak amen w pacierzu. — Kapitan mówił dość szybko, jakby się spieszył, lecz ton głosu jego był zupełnie spokojny; widać, iż nie denerwował się zupełnie, lub bądź co bądź postanowił sobie nie okazywać tego stanowczo.

— Mgła wstaje bardzo szybko. Za dziesięć minut nie będziemy widzieć już własnych rąk, lecz kapitanie, uspakaja mię zupełnie myśl, iż to co do nas należało, wypełniliśmy do końca. Walkę, jeśli ją przegramy, nie przegramy z własnej winy i nikt nam zarzucić nic nie będzie w stanie. Bądź co bądź dla mężczyzn w podobnej sytuacji jest to największem zadowoleniem. — Mgła idzie na nas kapitanie. Wracam do Miss Jenny. Do

widzenia. W tych warunkach, możemy się już nie zdążyć zobaczyć.

Marynarz jedną rękę wyciągnął od steru:

— Książę, dziękuję za wszystkie rady, dziękuję i do widzenia. — Książę zechce się nie bać. Hugo Wels, jeśli nie zawsze umiał się zdobyć na spokój, to w chwili decydującej potrafi ładnie zejść ze sceny.

Mgła zasnęła już dziób statku. Słogocki zbiegł szybko ku Jenny. Dopiął czego chciał. Tego kapitana ugniótł w swym ręku; zapewnił sobie jego przytomność umysłu do końca. Wiedział już, iż ten stary marynarz, pomimo wszystko, zagra tę rolę, którą mu dał, do końca.

— Przybywam w ostatniej chwili — rzekł Artur, siadając na fotelu — za pół minuty jużbym twarzy pani nie odróżnił od żadnej innej.

— Jakto?

— Ależ proszę się znów tak nie bać, mówię o mgle, która idzie na nas. Niech pani patrzy, obejmuje już ster i kapitana... już ich nie widać — książę przysunął swój fotel do fotela pięknej Amerykanki. Chwilę trwali w milczeniu. Patrząc na siebie, widzieli jak zacierają się kontury ich twarzy. Jenny drżała na całym ciele, książę również dał się unieść w zupełności — powiedział nawet:

— Miss Jenny, swoją drogą, jeśli nie ujrzę już ładu, wielu zazdrościć by mi mogło. Ostatni obraz,

którym bawiłem swe oczy, byłby dla mnie wtedy obrazem pięknej kobiety — uśmiechnął się w pełni zadowolony.

Nagle znowu usłyszeli, lecz już wzmożony szum fali, a kołysanie się statku spowodowało, iż Artur przysunął fotele do samej poręczy, za którą się uchwycili. Silny prąd szedł tam dołem i wstrzymywał bieg statku. Ze mgły powstała jakaś groza i unosić się poczęła nad jachtem.

— Książę?

— Słucham panią?

— Dlaczego pan nic nie mówi... proszę o to pana — głos miss Jenny drżał najwyraźniej.

— Pani się boi?

— Tak... Właściwie nie, nie boję się śmierci, lecz boję się książe, boję się własnego lęku, nie chcę go! Pan mię rozumie, nie chcę tego lęku, własnego lęku!

— Rozumiem panią. Sądzę nawet, że i pani mogłaby mię też zrozumieć. Co do tego lęku — mówił spokojnie — mogę dać pani tylko jedną radę i jedną pociechę w chwili bezwzględnie groźnej. Na teraz zaczynam od rady; słyszy pani, ojciec ją woła. Głos jego jest pełen zdenerwowania. Radzę pani nie zbliżać się do ojca, ani do kuzyna, nie poddawać się ich sugestji i ich lękowi. Niech pani lepiej słucha słów kapitana — książe zatarł ręce z zadowoleniem — udał mi się ten kapitan, jest zupełnie opanowany. Słyszy pani jak spo-

kojnie komenderuje marynarzami, jak nawet i ich uspokoił. Niech się pani nie rusza; kuzyn pani biegnie tutaj!

...Za chwilę usłyszeli stuk szybkich nóg; ktoś potknął się o liny. — Jenny!... Jenny!! — Otto zawołał na kuzynkę i nie postrzegając jej pobiegł dalej...

— Książę, a ta ostatnia rada?

— Mamy na nią jeszcze moc czasu. Pani zapomina, iż wszystko może się skończyć jeszcze pomyślnie.

Nagle! straszny huk zgłuszył słowa księcia; nagły wstrząs wywrócił ich z fotelami. Statek przechylił się tak gwałtownie, iż fala przebiegła przez pokład.

— Toniemy! — Krzyk rozpaczony szarpnął dziobem statku.

— Do pomp i pod pokład — zagórował w ciemnościach głos kapitana. — Sternik! — rozległ się głos świstawki i tupot nóg ludzkich oznajmił, iż ktoś zbiegł po schodkach.

Wtem nie wstrząs, lecz coś o wiele bardziej okropnego szarpnęło świadomością księcia.

Trzask łamanych belek rozdarł powietrze! Jacht rozbił się o rafę!...

Książę trzymał zemdloną miss Jenny; czuł w tej chwili jak serce bije mu w piersi młotem i liczył sekundy, starając się wyczuć, czy statek

zagłębia się w morze. Liczył, opanowując się tem liczeniem:

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć — doliczył do czterdziestu. Narazie byli jeszcze na powierzchni. Statek wyprostował się nawet; płynęli jeszcze pół motorem. Widać od uderzenia pękły żebrowania wątle i stare, lecz nity jakimś cudem trzymały jeszcze. Dziury w kadłubie nie było.

Teraz książę usłyszał dopiero przeraźliwe krzyki Ottona.

— Swoją drogą mamy w obecnej chwili szans uratowania: jeden na sto — pomyślał i począł cucić miss Jénny.

...Przysła do siebie, lecz drżała jak w febrze. Gdy usiedli na stosie lin pytała. — Książę nie ukrył teraz przed nią nic; czyż miał do tego prawo?

— Panie, ja chyba pójdę do ojca?

— Czy sądzi pani, iż obecność jej, nie wpłynie na niego bardziej rozstrajająco?

— Może, ja sama tego nie chcę, — ale ja tak nie wytrzymam.

Wyczuwał, jak w ciemności musiała patrzeć na niego bezradnym wzrokiem, wyglądając odeń ratunku. — Miss Jenny — mówił powoli, — dam pani ostatnią radę. Nie używałem tego dotąd nigdy, czem nawet śmieszyłem wielu mych przyjaciół. Wszystko ma jednak w odpowiedniej chwili swoje zastosowanie — niech pani to wacha i od

czasu do czasu oddaje mnie do powąchania; ja również potrzebuję już narkotyku.

— Co to jest?

— Proszę nie upuścić na miłość Boga! W danej chwili jest to wszystko, co może być dla nas najniezbędniejszego:

. Kokaina...

— Dlatego więc nie chciałeś iść na taras? — baron Wisel obrócił wzrok na księcia.

— Dlatego i dlatego innego jeszcze. Morze narazie wywołuje we mnie tylko najprzykrzejsze wspomnienia. Nie mogę patrzeć na nie spokojnie. Jest to zupełnie zrozumiała reakcja, ja zaś staram się zapobiegać reakcjom.

— Tak, lecz kończ na miłość boską. Wiem tylko to, co wyczytałem w gazecie i coś mi dotąd zdołał opowiedzieć.

— Kończę. Później zaczęliśmy więc raczyć się zachłannie tą kokainą, której skutki bardziej niż samego wypadku staram się usunąć w tem sanatorjum. Pozwolisz, wachaliśmy kokainę całą noc i to podając ją sobie z rąk do rąk.

— Ależ ta noc?

— Ta noc...? No, rzeczywiście; wyobraź sobie podróż, gdy statek ma pogruchotane nity i wiązania, to znaczy się jest skorupą, którą już nie tylko pierwsza lepsza rafa rozbije mimochodem,

ale silniejsza fala roztrzaskać może. Przytem z łaski swojej pozwól mi, iż dodam do tego nieprzeniknioną mgłę, z której kolejno wydobywają się rozpaczliwe krzyki mister Johnsona, Ottona, nawoływania i bieganie marynarzy, również do najwyższego stopnia poszalałych. Wierz mi, okrutnie ciężko jest przeciwstawiać się w podobnych chwilach szaleństwu, bawiąc jednocześnie młodą damę. Biedna miss Jenny... —

Książę spojrział daleko gdzieś przez weneckie okno na szafirową lustrzaną taflę morza, żywym srebrem grającą w słońcu; wiała ogromna cisza od tej toni, cisza i spokój były na tem morzu pogodnem, lazurówem. — Tylko ten kapitan był imponującym do końca — ciągnął po chwili książę. Ze względu na miss Jenny, której nie mogłem odstąpić, nie byłem przy nim, lecz wierz mi, dotrzymał słowa. Grał; mało ludzi nie gra do diabła w życiu, lecz on cudownie odegrał swą rolę. Jego głos był ostatni, donośny, zimny i zdecydowany. Co tu mówić, skończył jak mężczyzna.

Nastąpiła długa pauza. Artur wciąż patrzył gdzieś daleko przed siebie, tam, gdzie morze łączyło się z horyzontem.

— I ktoby przypuścił, i ktoby się spodziewał, że ja jeden wyjdę z tej katastrofy? Wiesz, słyszę jeszcze ciągle swe własne słowa, którem wyrzekł do niej w chwili, gdy mgła zacierała już

wszystko. Mówiłem jej, że jeśli zginę, ostatnim obrazem co pieścić będzie me oczy, będzie widok kobiety, pięknej kobiety. Byłem rad. Nie widziałem jej później już więcej.

— Jaki? tydzień temu był jej pogrzeb tutaj. Zwłoki jej i jej ojca wyrzuciło morze. —

— I cóż z tego! Chcesz może powiedzieć, że powinienem był iść, przybrawszy cylinder i białe rękawiczki, oddać ostatnią posługę. Nie, oszczędziłem jej tej przykrości; była na to za piękna, za piękna wogóle i za piękna w chwili, gdy ją widział raz ostatni. Własnowolnie nie wyzbyłbym się nigdy tej chwili i nie bezczęścił jej, widokiem trupa kobiety, po trzech dniach wyrzuconej przez morze.

— Po trzech dniach? Rozbiliście się przecież prawie przy brzegu. Wiesz, sam ten fakt doprowadziłby mię do szaleństwa.

— Tak, to zdawaćby się mogło jedno wytrącić z równogi, ale nie mnie Wisel, nie mnie. Czasem u samego już celu w przeddzień jakiegoś triumfu, jakiś głupi zdarza się szczegół, przeszkoda i wszystko idzie w niwecz. Kto ma w sobie świadomość tego i liczy się z tem przez całe życie, ten może inaczej entuzjazmuje się od innych, lecz nigdy nie będzie fatalistą i nigdy nie spotka rozczarowania... Zapewne, mój drogi, na całej przestrzeni, po momencie gdyśmy uderzyli o rafę, nie natrafiliśmy na żadne przeszkody. Najmniejsza

byłaby nas zmiążdżyła, a jednak zdołaliśmy je omijać przez 10 godzin, — szczęście nam sprzyjało. Szczęście?... rzecz znaczy się nieusprawiedliwiona, na którą nie można liczyć. Gdybyśmy wiedzieli, że znajdujemy się w ośmiu milach od portu, dawalibyśmy sygnały! Lecz proszę ciebie! Wiedzieliśmy tylko tyle, iż pierwszej nocy zawierzyliśmy się gdzieś w labiryncie Lakkadiwy i aczkolwiek cały następny dzień zdążaliśmy w kierunku Bombaju, byliśmy poprostu przekonani, iż co najwyżej dosięgnęliśmy równej linii z Goa. Później przyszła noc i lawirowanie. Nie napotykalismy pod koniec już raf, lecz nie widzieliśmy nawet czy to my zdołaliśmy je ominąć, czy też one nas. O zachowaniu w tych warunkach kierunku, nie mogło nawet być mowy. Nawet do głowy nam nie przyszło, iż tak blisko jesteśmy lądu. A proszę ciebie! Nawet gdybyśmy przypuścili podobną ewentualność, czy sądzisz, iż przy mgle dostrzeglibyśmy zdaleka światło latarni morskiej? Mój drogi, jeśli się bierze pod uwagę niczem nieusprawiedliwione szczęście, które przez tyle godzin trzymało rozbity statek w całości, to godzi się chyba wziąć pod uwagę i mgłę, zjawisko częstsze na morzu i bardziej wytłumaczalne.

Książę zamilkł, zaciągając się cygarem. Do jego pokoju weszła pielęgniarka, od której Słogocki przyjął termometr. Gdy wyszła, ozwał się do barona:

— Mój drogi, jutro myślę już rzucić to sanatorium. Zasadniczo mylą się tu co do mojej kuraacji. Przeceniają tutaj sam fakt katastrofy, który zaznaczam, pomimo wszystko, odbił się słabiej na moim stanie zdrowia, niż ta kokaina. Przedtem, wyłączwszy pewną ilość alkoholu i czarnej kawy, nie używałem nigdy narkotyku, to pozwoliło mi w momencie bądź co bądź przykrym, być pod całkowitym jego wpływem, co znaczy się innemi słowy zapobiegło wszelkim psychicznym ewentualnościom, które mogły pojawić się u mnie w następstwie. Dziś jednak, mój przyjacielu, jestem poprostu zatruty i odczuwam apatię. Wszystko to jest naturalną w tym wypadku reakcją i sądzę, że podróż do kraju robi mi bardzo dobrze. Jak dawno już jesteś w Bombaju?

— Prawie pół roku. Mój stryj, który, jak może słyszałeś, prowadzi tutaj z ramienia naszego rządu wielkie przemysłowo-handlowe interesy, zachorował przewlekle i zawezwał mię do siebie. Rozumiesz, kwestja schedy. Dzięki Bogu, alarm okazał się zbyt czyny i dziś już mogę śmiało powrócić wraz z tobą do kraju.

Książę spojrział na termometr: — temperatura zupełnie normalna. Wszystko to, było tylko lekkie przeziębienie. Ciekawa rzecz. Wiesz, od momentu, gdy jacht mister Johnsona rozbił się, wpadłszy na mieliznę, nie nie pamiętam. Domyślałem się tylko raczej, że siedząc przy burcie i trzy-

mając się mocno poręczy, musiałem od wstrząśnienia przelecieć przez nią i wpaść do wody; inaczej byłbym potłuczony... Tak, z wszelką pewnością na mieliznę wyrzucić musiała mię woda i to zemdlonego. Ciekaw jestem ile czasu upłynęło od chwili rozbicia się jachtu, do przyjazdu załogi portowej? Wątpię, by więcej jak godzina. Doskonale pamiętam, że już rozwidniało się; mówiłem nawet o tem do miss Jenny... — Książę zamyslił się, a baron zapytał:

— Sądzę, iż byłeś jednak pod dużym wpływem tej Amerykanki.

— O, nie, mylisz się, to raczej miss Jenny była pod moim wpływem. Co do mnie to wykluczone, niemożliwe.

— Ależ ja mówię o innym wpływie.

— Tem bardziej.

— To mię dziwi, była przecież, jak sam mówisz, piękną kobietą.

— To naturalnie, lecz przecież to samo przez się niczego jeszcze nie dowodzi. Zdaje mi się mój drogi, iż chciałeś powiedzieć, że miss Jenny miała wszelkie warunki, by się w niej zakochać. Nie wątpię, a nawet w zupełności przytakuje. Miłość jednak... — książę przeciągnął się i podał w tył fotela.

— Wy wogóle, zdaniem mojem i ty i wielu innych nie doceniacie miłości.

Baron obruszył się: — Prędzej tobie możnaby

wysunąć podobny zarzut. Mam wrażenie, iż twoja z jednej strony wysubtelniona uczuciowość, gryzie się w tobie z wrodzoną ci z drugiej strony trzeźwością.

Słogocki uśmiechnął się. — Mój przyjacielu, całe moje usposobienie, zdaje się i zachowanie, zadaje najzupełniej kłam twemu przypuszczeniu. We mnie się nic nie gryzie — przeciwnie, wy czuвам w sobie najzupełniejszą harmonję; powiem nawet więcej: ostatnie lata dały mi bardzo dużo. Nie nabyłem tego, co pod płaszczykiem zrównoważenia jest zwykłym wyjałowieniem, a jednak dziś wiem już prawie napewno, iż niczem być zaskoczony nie mogę. Jest to drogi baronie nie tylko wygodne, ale i bardzo, że tak powiem, męskie. Mówmy jednak o miłości. Ciesz się, iż dziś już ze spokojem mogę Ci to wytłomaczyć. Miss Jenny była osobą piękną i wogóle ze wszech miar godną kochania, lecz proszę ciebie, ja dzisiaj, ani się zakochać, ani żenić z osobą tego rodzaju jużbym nie mógł... Za bardzo by mi przypominała moją żonę; niech cię to nie dziwi. Ja dzisiaj mógłbym zakochać się, powiedzmy, w murzynie, w kokocie. Jeśli cię typy, które wymieniłem razą, to w jakiejś oderwanej od życia malarce, poetce, wreszcie powiedzmy w pięknej, lecz bezdusznej lalce salonowej. Miss Jenny zanadto swym charakterem, swym nawet poniekąd typem przypominałaby mi moją nieboszczkę żonę. Ja je-

stem wdowcem. Czy ty rozumiesz co to znaczy? Znaczy to, iż jestem człowiekiem, który coś bezsprzecznie, jeśli nie stracił, to przeżył. Gdybym na przykład zakochał się w miss Jenny, obrażałbym tem pamięć mej żony, jak również obrażałbym miss Jenny. Wywoływałbym w sobie jakieś analogiczne do dawnych uczucia, słabe, karłowate. Słuchaj! to nie byłaby miłość sędzę u nikogo, a u mnie, jak zaznaczyłem na początku, była to rzecz wykluczona. Żyję okresami i coraz innemi okresami.

— W ten sposób jednak wiele rzeczy nie dociągasz do końca, przerywasz je, nie masz pełni życia.

— Mój kochany, żebyś wiedział ile razy spotkałem się już z tym absurdalnym zarzutem. Czyż to, iż odrzucam coś, co powtarzałyby się tylko mogło, dlatego by żyć czemś nowem, dowodzi braku pełni życia? Zaprawdę, chyba wprost przeciwnie. Przerywam powiadasz coś w mem życiu?... Tak, lecz w imię czego? W imię tylko tego, mój drogi, iż silną ręką sam kieruję mem życiem tak jak chcę; w imię tego, iż doceniam w mem życiu wszystko i idąc po nowe, niewiadome, to com już przeżył zostawiam w sobie, w jaknajpiękniejszej formie. Ty będąc na mojem miejscu i idąc na pogrzeb miss Jenny, zachowałbyś w pamięci brzydkiego jej trupa; ja zachowałem ją żywą i piękną, taką, jaką była dla mnie w rzeczywistości.

III. C Z E Ś Ć.

Znano go, i czytano z zapartym oddechem utwory jego, wionące grozą przeznaczeń i fatalizmu. Gdy afisz teatralny głosił którąś ze sztuk jego, wiadomo było już zgóry, jak w ciężkim nastroju rozejdzie się po seansie publiczność. Koncepcja wszystkich jego utworów zawsze a wyrafinowanie była dramatyczna. Fatalizm życia przebiegał w każdym jego słowie, które głosiło niezmiennie, iż życie już w samem swem założeniu jest dramatem. A autor był genialny; fascynujący do najwyższych granic. Straszyl, lecz i oczarowywał. Hypnozą swego talentu, powolne za sobą wiódł rzesze i w pięknej czarze podawał im truciznę, głosząc, iż prawda sama, Bóg sam, ten jad przez jego podaje im ręce. Straszyl i nęcił, jak nęci mgłą powleczone dno przepaści.

Widywano go często. Latem bez kapelusza, a zimą w rozpiętym z nastawionym kołnierzem palcie, wybiegał z mroku kamienic, gdy nocą deszcz dzwonił po trotuarze, wybiegał by zniknąć za chwilę znów gdzieś w mroku. Nie widział nigdy nikogo; w głowie miał cały wulkan wiecznie tlejących pomysłów; w szeroko rozwartych czarnych oczach, wieczny strach i dramat wielki. Co

widzieć mógł temi oczami, biegnąc tak sam przez ulicę? Może widział wielkie sylwety czarnych domów, piętrzące się jak katafalki, przybrane w gromnice ulicznych latarni, osnute czarnem kadzidłem, co z pieców wionęło fabrycznych. Może gdzieś w rojnych i gwarnych kawiarniach, ciemnych tawernach, szantanach, spelunkach, przybrane komicznie, jaskrawo, widział trupy tylko? Może śmierć ujrzał kiedyś samą? — Może.

Lęk był w jego oczach, a wir upiorny szalał w genjalnym mózgu.

I oto raz, gdy bezszelestnie pierzchnęły przed nim kręcone drzwi jakiegoś lokalu, gdy murzyn aż tu rzucony podłym losem, zdjął z ramion mu palto, wszedł, mrużąc oczy, na salę wytwornej restauracji. Dookoła białych obrusów wytworni wszędzie siedzieli goście. Nagle, gdzieś z kąta sali czyjś wzrok musnął go spojrzeniem. Odwrócił głowę. Przy jednym ze stolików, w ciszy łoży, siedział mężczyzna, sam jeden; z wysokiej czarki kielicha sącząc czerwone wino. Nie wiedzieć dlaczego spotkały się ich oczy. Poeta i ten ktoś, ktoś zupełnie różny, patrzyli na siebie ciekawie, bardzo ciekawie, lecz bez impertynencji. Zdawałoby się mogło, iż jeden dziwi się, że drugi istnieje na świecie. Trwało to dość długo, aż wkońcu Ferreri ze swobodą, na jaką tylko poeta zdobyć się może, precyzyjnie się do stolika, i gardząc najbardziej przyjętymi formami, siadł w łoży nawprost swe-

go nieznanego. Nieznajomy uśmiechnął się. Jeśli sytuacja, w której się znajdowali, nie zajmowała ich do najwyższego stopnia, śmieszyłyby ich niezawodnie. Coś jednak szło, tak jak powinno, według ułożenia nie przez nich, lecz za ich wolą programu. W pewnej chwili, gdy orkiestra jakieś uderzyła akordy, uśmiechnawszy się jednocześnie, swobodnym gestem podali sobie karty wizytowe. Nieznajomy czytał: Gabrijel Ferreri — poeta. Poeta zaś czytał: Artus Słogocki — prince. Skinęli sobie z szacunkiem głowami, nie mówiąc do siebie narazie nic i czując tylko, iż na rozmowę, która powinna nastąpić, nie przyszła jeszcze pora. Tymczasem książę delektując się, powoli pił czerwone wino, poeta zaś z niemniejszym zajęciem palił grubego opiumowanego papierosa. Słuchali muzyki. W miarę, jak melodia owładała nimi, w orkiestrze przebijając poczęły ponure akordy.

Opowieści Hoffmana, skradając się podstępnie, wionęły grozą na rozgadaną salę. Przeciągnęły się twarze, na usta wystąpiła nuda, troska wyjrzała z oczu; przerwały się rozmowy o najmilszych pozornie, najciekawszych tematach. W tej chwili z wzrokiem utkwionym przed siebie, podparty na dłoni Ferreri, kończąc jakąś myśl, ozwał się na poły do siebie, na poły do księcia:

... — Jednakże jak odrazu posmutniały wszystkie te twarze. Człowiek odbiera wrażenie, iż ten

ostatni akt, nie kończy sztuki. Ona sama snuje dalej bez końca swój dramat fatalistyczny; tylko nie na scenie należy już szukać dramatu i fatalizmu.

— Nie na scenie? — Książę również patrzył na salę.

— Tak, nie na scenie — mówił zwracając się do Artura i ożywiając Ferreri — w życiu! W tej sali, między stolikami, bezszelestnie, niewidzialny błdzi demon. Raz po raz zatrzyma się przed kimś i myśl bezwolną nawróci do przeżyć najcięższych człowieka, które wiąże z tą chwilą.

— A człowiek czyż nie ma prawa się bronić?

— Bronić, ha, ha! Czy pan czuł kiedy na sobie wzrok szatana? czy widział pan kiedy zbliżka przepaścistą głębię jego oczu? czy pan wie co jest w tych oczach?

— ?

— Strach! Rzecz najpotężniejsza; podstawowy pierwiastek duszy ludzkiej i dramat tej duszy!... Niech się książę nie uśmiecha. Zresztą, to zupełnie zrozumiała i stara hipoteza. Człowieka na ziemię sprowadziła jakas katastrofa. Dusza ludzka oderwana od absolutu, błdzi tu tylko, czując się obcą, obcą zupełnie! — Gabrijel, paląc papierosa, ożywał się coraz bardziej i coraz bardziej pogrążał w obłok opiumowego dymu. — Rzecz jasna — mówił. — Dziecko, wychodząc z łona matki, płacze i boi się przy zetknięciu z atmo-

sferą powietrza; każdą następną zdobycz, która przenika do jego jaźni okupuje strachem. Weźmy człowieka dorosłego, weźmy go w warunkach, gdy znagła jest zaskoczony przez coś silnego. Jakie jest jego pierwsze wrażenie? Strach i dramat co jest w nim zawarty!

Książę odstawił kieliszek. — Nie zgodzę się z pańskim dramatycznym na świat poglądem, a więc nie zgodzę się również, by strach miał być podstawowym pierwiastkiem duszy ludzkiej. Strach nie jest przyczyną. Strach we wszystkich swych fazach i odmianach, rozmiar kłeski, których, zdaniem mojem, doceniam, jest zaledwie skutkiem, którego przyczyną będzie brak intensywnego życia, to, cobyśmy nazwali idei. Niech pan uprzytomni sobie na moment rozwój cywilizacji, a przekona się pan, iż najbardziej dominujące znaczenie w duszy ludzkiej miał strach wtedy, gdy była ona zamknięta w zbyt ciasnych ramach, bądź też wyjałowiała na ugorach. W okresach, w których postęp, a więc życie samo parło człowieka naprzód, strach zmalał do minimum.

Ferreri rozśmiał się. — Dobrze, lecz czy to, iż w dziejach cywilizacji, dzięki jakiemuś załganiu, to co nazwalibyśmy strachem metafizycznym, odgrywało mniejszą rolę, da się tem samem usunąć? Czyż nie dowodzi to raczej, że to, co było wiecznie, jest nie jak pan powiedziałeś skutkiem, lecz wartością bezwzględna, której podlegali i podle-

gają w mniejszym lub większym stopniu wszyscy?

— Nie, panie Ferreri. Są ludzie, dla których strach, o którym mówisz, jest czemś obcem zupełnie. Od pierwszych chrześcijan od „Acta Martyrum“, aż do burmistrza Corku, ciągnie się nie tych bezbojaźliwych ludzi, jak pan ich nazwałś załganych.

Opiumowany papieros zadrżał zlekka w palcach poety. — Przypuśćmy i to. — Czyż to jednak, że ci ludzie bez lęku giną zawsze, nie jest samo przez się straszne? nie jest dramatem?

— Powodem ich zguby są ich ideje, nie brak strachu. A zresztą...

Książe uśmiechnął się, jakby do jakiejś dalekiej, drogiej sobie myśli. — Czy nie sądzi pan możliwym, iż kiedyś znajdą się ludzie, ci właśnie bezbojaźliwi, którzy za ideę obiorą sobie życie samo. Szczęśliwe życie?!

— Chęć szczęśliwego życia nie jest ideą.

— Tak ma pan rację, jest prawem, lecz nauczanie prawa jest ideą.

— Gdy pan będzie nauczać ludzi jak mają żyć szczęśliwie w życiu doczesnem, wówczas siłą rzeczy w bliskich ziszczalnych celach, jakie pan stworzyć im będzie musiał, nie znajdzie pan środków na zwalczanie strachu, gdyż strach, o którym mówimy, na wyższej leży płaszczyźnie.

— ?

— To jasne. W tej atmosferze, w której ja mogę zobaczyć prawdziwy cień mego strachu, a pan, powiedzmy, widmo swego słońca — takie rzeczy, jak dobro wszystkich tych ludzi, nie mają już żadnej wartości.

— Niel — Książe przez czas jakiś z za przymrużonych powiek spoglądał w jarzący się światłem kandelabr kawiarni. Zaczął powoli: — Patrząc na światło tej lampy i przebiegam w myśli, ile dobra dla wszystkich bezsprzecznie ludzi wyświadczyła i wyświadczyć może jeszcze elektryczność. Proszę pana Bècquerel, który wywiązanie się w naszej atmosferze elektryczności, przypisywał wpływowi słońca; otrzymał jednak we właściwych barwach fotografię widma słonecznego. Czy pan sądzi, że nie powinien był jej otrzymać?

Gabriel drżącą ręką gasił w popielniczce swego papierosa. Począł mówić, lecz słowa jego były szybkie, a głos zdenerwowany:

— Czy pan jest bogaty?

Książe uśmiechnął się: — nawet bardzo.

— Otóż mam jeden argument. Mam argument jako artysta, który dojrzał we mnie w tej chwili. Jeżeli księciu zależęby mogło tak bardzo i tak zupełnie na rozwiązaniu tego problemu, ja go rozwiążę. Tak, do tego potrzeba, bym wyładował z siebie całą energję, bym użył wszystkich zasobów mych zdolności, bym przeszedł przez cały ogrom pracy, lecz jednak ważyłbym się na to,

ważylbym się dla tych powodów, dla których nie radzę się ważyć księciu. Zwycięstwo moje złamałoby pana — mówił z błyskiem w oczach.

Książę Słogocki zatopił się w myślach. Przed jego wzrokiem przesuwać się poczęły, zmieniając raz po raz, jak w kalejdoskopie, obrazy jego życia. Postacie osób kochanych, czy znanych tylko, dziwnie wyraźnie zarysowały się w mózgu, z którego jak objawienie jedna tylko wypłynęła myśl: przecież ci wszyscy ludzie zosobna i razem wzięci, stanowili dlań zawsze wrogi, przeciwny mu obóz. Na czoło Artura głęboka wystąpiła bródka. A przecież były chwile, że chciał, by chociaż te ukochane przezeń osoby, stanęły z nim razem. I cóż?... Jeden generał w części zdawał się go rozumieć i jeden jakiś kapitan w obliczu śmierci został przez niego zdobyty. — Słogocki podniósł głowę — tak, więc należało walczyć. Czuł zresztą to już dawno, że mu nie wolno bezkarnie zlekceważyć tego, co budowała w nimbie załganych tradycji lękliwość ludzka. Oddawna już podświadomie szukał swych wrogów, lecz wrogów godnych siebie i ostatecznej rozprawy. O tym Ferrerim słyszał już przecież, znał jego siłę, wpływ i genialność. Obrzucił jeszcze raz wzrokiem poetę, tak jak bokser na wielkiej arenie obrzuca wzrokiem przeciwnika, z którym raz pierwszy wypadło mu się potykać. Tak, był to pierwszy świadomy siebie i godny księcia prze-

ciwnik. Nie zdejmując oczu z twarzy Gabrjela, rzucił z kolei swą rękawicę:

— Przystaję. Co każdy z nas włoży w tę walkę, zachowajmy przy sobie; nie odsłania się sił przed bitwą. Pieniądze, o których pan wspomniał będą, zresztą, niech to pana w niczem nie krępuje. Nie kosztowały mię one nic. Pieniądze dziedzicę po moich przodkach.

Ferreri pochylił się prawie do ucha Artura. Oczy jego stały się przymrużone, a szept dla obcych niedosłyszalny. Od czasu do czasu padały tylko pojedyncze słowa: specjalnie wybudowany dom... ścisła tajemnica... ewentualny proces... odpowiedzialność...

Minęło kilka dni. Ferreri siedział w swym gabinecie pochylony nad stosem papierów. W pewnej chwili odjął oczy od biurka i zamyślił się głęboko. Dochodziła godzina czwarta. Czy jednak książę wziął na serjo tę ich rozmowę? Czy nie rozmyślił się jeszcze?... W duszy Gabrjela zbudził się szereg wątpliwości. Nie widział księcia od rozmowy w „Café Artistique“ to znaczy, widział go po prostu raz jeden. Wprawdzie informacje, jakie zebrał o Słogockim, nie potwierdzały bynajmniej jego podejrzeń. Książę miał tu opinię ekscentryka, lecz jednocześnie człowieka śmiałego i zdecydowanego. Zresztą, dochodziła już czwarta, nie-

pewność Gabrjela miała się zaraz rozstrzygnąć. Umówili się przecież, iż właśnie w tym dniu i o tej godzinie książę ma przesłać listę ze swej strony zaproszonych gości, oraz znaczniejszą sumę pieniędzy na aconta, mające być udzielone dekoratorom i ich pomocnikom. Zegar na biurku wydzwonił czwartą. Ferreri czas jakiś śledził ruch malutkiej wskazówki, która szybko obiegała po malej średnicy koła. Upłynęła jedna minuta... druga... trzecia. Ferreri począł się niepokoić. Gdy przeszło pięć minut, zwątpił już wewnętrznie zupełnie, chociaż tłumaczył sobie, iż przecież Słogocki może się spóźnić nietylko te pare minut, lecz nawet godzinę całą. Jakiś głos wewnętrzny wciąż mówił mu, że kolosalny rozmiar kosztów i wielka odpowiedzialność w połączeniu z tem, iż poza poetą nikomu zależeć nie mogło na rozwiązaniu tak abstrakcyjnych problemów, wykluczy zupełnie współdział księcia. Gabrjel zdziwił się nawet w tej chwili, jak mógł wierzyć w to wszystko przez całe trzy dni. Gorzki uśmiech wykrzywił mu wargi; sądził, iż ludzie nie potrafią go już oszukać. Dawno doszedł do wniosku, iż wszystkie jego największe zamierzenia absorbują jego tylko samego, eksploatują mu duszę i siły. Inni? Inni zawodzą zawsze. A jednak ten książę miał coś w sobie, co skłoniło poetę jeszcze raz do otwartości, co pozwoliło mu ryzykować najwięcej, jak jeszcze nigdy dotąd nie ryzykował w życiu. Teraz jednak

czuł Gabrjel, że i ten książę okazał się tylko zwykłym burżujem i snobem, bawiącym się tylko tem, w co on wkładał całą swoją duszę.

Nagle zadzwoniono. Za chwilę do drzwi zapukano zlekka. „Proszę wejść“.

W progu zatrzymał się kamerdyner. Z poważnym ukłonem wyrzekł tylko trzy słowa: — Od księcia Słogockiego.

Po wyjściu posłańca Ferreri szybko rozdarł kopertę; rozwinął papier. Ze środka listu wypadł czek banku królewskiego, na nadspodziewanie wysoką sumę. Ferreri czytał:

Szanowny Paniel

Powołując się na naszą rozmowę i stosownie do umowy, przesyłam Panu wiadomy Mu czek oraz listę gości, których ze swej strony, we właściwym czasie pragnąłbym zaprosić. Poza tem à propos dekoracyj i akcesoryj, może zechce Pan zwiedzić mój pałac, przy alei lipowej, w którym możliwe, iż znajdzie Pan wiele rzeczy, mogących mu się przydać. Ze swej strony wstrzymuję się w tym względzie z jakąkolwiek inicjatywą, gdyż aczkolwiek pochlebiam sobie, iż nie jestem w dziedzinie sztuki dekoracyjnej laikiem, jednakże nie chciałbym Pana, że niepowiem krępować, bo o tem nie może być mowy, ale absorbować moimi gustami, które ze względu na tak różny w nas kąt widzenia mogłyby, bądź co bądź, zaszkodzić sprawie, na któ-

Szczęście.

rej nam najwięcej zależy. To samo co do dekoratorów i malarzy, zechce Pan sam zająć się tą sprawą. Kwestja jednego tylko budowniczego wymaga wspólnego omówienia, z powodu, iż niedopilnowanie i najmniejsza niedyskrecja z jego strony, mogłaby nam przeszkodzić w doprowadzeniu do końca zamierzonego dzieła i narazić nas na szereg nieprzyjemności.

— Łączę serdeczny uścisk dłoni i pozostaję z poważaniem

Artur ks. Słogocki.

Dalej następowała lista gości, zaproszonych ze strony księcia; były tam tylko trzy nazwiska:

Wilhelm hr. Luboński.

Generał Oliwer lord Holland.

Rajmund bar. Wisel.

Tylko trzy osoby, stwierdził z zadowoleniem Gabrjel.

— — — — —

Mieszkańcy przedmieścia „Nadbrzeże“ zaciekawieni byli, gdy spostrzegli, że w starym, dzierzawionym przez kogoś ogrodzie, poczęto budować ładną, barokową willę. Robotnicy, spieszący rano do fabryk, dziwili się, jak w szybkim tempie postępowała praca. Gromady uliczników, dzień cały gapili się bezmyślnie na zatrudnionych noszeniem cegieł i lasowaniem wapna murarzy.

Zresztą, nietylko to przykuwało uwagę gawiedzi. Wszak samo budowanie się domu nie należy do osobliwości; ciekawość uliczników podniecała inna okoliczność. Oto dzień w dzień, poza „Fordem“ budowniczego, na wymienioną posesję wjeżdżał cudowny „Rolls-Royce“ czarny, świecący i cichy. Z auta wysiadało zawsze dwóch młodych ludzi: Jeden ubrany skromnie, drugi starszy od pierwszego, przybrany wytwornie z jakąś pańską non-szalancją w ruchach. Wsiadłszy z auta, szli zwykle bardzo szybko do nowobudującego się domu, jakgdyby starając się, by nie być przez kogoś ujrzanymi i zapamiętanymi. To podniecało ciekawość ulicznych andrusów, którzy już tylko dla samego figla, gotowi byli wyczekiwać całemi godzinami na dwóch nieznanym. Zabawa jednak skończyła się bardzo szybko. Któregoś dnia, w miejsce starego, niskiego i pochylonego parkanu, okalającego ogród, poczęto budować gruby i wysoki mur, zaopatrzony u góry żelaznemi prętami i drutem kolczastym. Ulicznicy zorjentowali się szybko, iż przez taką przeszkodę, zwłaszcza jeśli stróż jeszcze pilnuje w ogrodzie, bez szwanku dla zdrowia się nie przełazi. W tym czasie piękny „Rolls-Royce“ zaprzestał nawiedzać podmiejską dzielnicę. Dopiero, gdy mur był gotów, gdy zbudowano dużą wjazdową bramę, auto pojawiać poczęło się znowu. W dwa miesiące później nie widziano już, by murarze, czy cieśle dążyli na

posesję. Willa musiała być skończona. Kto jednak zamieszkał w niej i czy wogóle ktokolwiek poza stróżem mieszkał w tym ogrodzie, nie wiadano zupełnie.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Ferreri do księcia, gdy tylnymi schodami, od ulicy portowej, dostali się do wnętrza nowo-wybudowanej willi. — Jest to moja kancelarja, a właściwie mówiąc ściślej, mój sztab, z którego kierowałem wszystkim dotąd i kierować myślę do końca.

Słogocki siadając na krześle, jednym spojrzeniem obrzucił pokój. Nie przedstawiał on sobą nic ciekawego. Dwie duże lampy nad dużymi stołami, zarzuconymi notatkami, kwitami oraz jakimiś szkicami dekoracyj, w połączeniu z żelaziwem trzech prostych łóżek, stanowiły całą zawartość tego pokoju.

— Nie rozumiem jednego — mówił książę, rozluźniając na szyi swój biały szal — wejście, wszak znajduje się od ogrodu?

— Rzecz prosta. Front wychodzi na ogród. Schody, którymi wprowadziłem pana, należą do oficyny. Bez tych drugich schodów, rozumie książę, całe nasze zamierzenie byłoby nie do pomyslenia. Musiał pan spostrzec, iż w przeciwieństwie do frontu, ta oficyna nie przedstawia sobą nic ciekawego; żadnych nawet ozdób architektonicz-

nych. Dom jest oznaczony numerem porządkowym i ma nie zwracać niczyjej uwagi.

— Więc wejście, którem dostaliśmy się teraz, służyć będzie dla?...

— Artystów — z uśmiechem dokończył Ferreri. — Książę nie wyobraża sobie jak zupełnie inaczej wygląda ten dom teraz po ukończeniu. Niestety, ani frontowego wejścia, ani sceny nie mogę panu pokazać. Jedną widownię sprezentuję księciu. Jakież wrażenie na pana wywarł Anatol de Rossi?

— Zupełnie dodatnie. Jego krytyki teatralne uważam za, jedne z poważniejszych. Domyślam się panie Ferreri, iż zupełnie słusznie postarałeś się pan o to, by człowiek ten był jednym z widzów naszej walki.

— Jednym i jedynym z mojej strony.

— Doskonale, lecz teraz z kolei ja zapytam, czy przystaje pan na moich kandydatów. Jestto właściwie cel mojego tu przybycia. Wczoraj w ciągłej obecności tych panów, nie mieliśmy możności porozmawiać swobodnie.

Gabrjel rozsiadł się niedbale na jednym z żelaznych łóżek.

— Co do pańskich kandydatów, to nie śmiałbym pana krępować w ich wyborze. Sądzę, iż jeśli książę postanowił zaprosić te a nie inne osoby, czynił to dla niemniej ważnych niż ja, osobistych

powodów. Zdaje mi się nawet, iż odgaduję te powody.

— Sądzi pan?

— Jestem prawie pewny. Jako poeta i dramaturg mam więcej intuicji w poznawaniu ludzi, co pewnie pana nie dziwi. Otóż co do tych osób, to jestem najmocniej przekonany, iż hrabia Luboński należy raczej do mojego obozu. Zapraszając hrabiego, — rozśmiał się Ferreri — kierował się książę nadzieją, iż w razie pobicia mnie, tem samem rzuci pan o ziemię tego wytwornego staruszka. — Pan musi bardzo nie lubić hrabiego Lubońskiego.

Gabrjel ukazał w uśmiechu swe zdrowe, białe zęby, książę zaś spytał, przecinając ten temat:

— Co do dalszych zaś osób?

— Co do dalszych osób, to generał jest stanowczo może mniej ciekawym i bardziej prymitywnym, lecz tak samo naiwnym typem jak książę pan.

Słogockiemu poweselały źrenice: — A baron Wisel?

— Barona Wisła znałem dawniej. Wisel nie przechyła się ani na księcia, ani na moją stronę.

Gabrjel zamyślił się i zamilkł, patrząc gdzieś w pułap. Słogocki nie przeszkadzał mu. Zauważył już dawniej, iż ta dziwna praca, którą Ferreri prowadził od kilku miesięcy, wycieńczała młodego poetę. Rysy twarzy Gabrjela zaostrzyły się

znacznie, z oczu wyzierała jakaś gorączka i niewyspanie. Z dziwną przychylnością i z ojcowskiem prawie współczuciem patrzył Artur na tę twarz. Męczy go to jednak, pomyślał i sięgnął ręką po leżącą na stole gazetę. Wzrok jego padł na artykuł, traktujący o stosunkach w Indjach. Począł przebiegać go oczyma.

— Nic ciekawego — przerwał Ferreri. — Chodźmy na widownię.

Podniósł się z łóżka i otworzywszy niewielkie boczne drzwi, dawał pierwszy krok księciu.

— Jest tu zupełnie ciemno — zauważył Słogocki, idąc przodem i poomacku szukając drogi przed sobą.

— Jesteśmy jednak już na widowni — informował Ferreri. — Zaraz zapalę elektryczność. Jest to jedyna w swoim rodzaju widownia, jakiej drugiej nie ujrzymy zapewne już nigdy w swem życiu. — Przekręcił kontakt.

Rząd w ciemnych abażurach ukrytych gdzieś lamp, rozświetlił krwawym blaskiem długą salę. Pierwsze wrażenie, jakie skonstatował w sobie Artur, jeśli nie było strachem, to w każdym razie było czemś wysoce przygnębiającem. A jednak była to prawdziwie piękna, prawdziwie godna podziwu sala. Słogocki wznosił głowę do góry, ten strop, jaki ujrzał nad sobą, czynił ogromnie przykre wrażenie. Wysoki, a jednak ciężki, upięty w łuk, olbrzymiemi fałdami brunatnej jakiegś

materji, zdawał się tylko czekać chwili, by runąć na głowy obecnych. Grube kanciate kolumny, pęczniące w górze o wielkich abakusach, stroiły ciężkie motywy, zwierzęco-ludzkie. Miękkie dywany, szeleszczące pod nogą, zdawały się jakgdyby odbijać krok swą imitacją kamienia. „Dziwne, dziwne“ — mówił półgłosem Artur — rozpatrując szczegóły. Coś podobnego widział raz pierwszy w życiu. Sądząc po tych kolumnach, po lukach, sądząc po ornamentacji, na pierwszy rzut oka sala ta dawała się określić w trzech, tak dobrze znanych księciu słowach: styl świątyń indyjskich. Lecz pominąwszy już materiał z jakiego powstała; wrażenie, jakie odbierało się od pierwszego rzutu oka, było zupełnie nowoczesne, o wiele potężniejsze. Ciężar i jakaś groza wiały od tej sali. Mrużąc oczy i patrząc przed siebie, gdzie w perspektywie pod podkowiastym łukiem ginęła w zakręcie główna nawa — książę wyszeptał:

— Jednakże dziwnie pijany modernizm kierował tymi ludźmi, co wzniesli tę jakąś świątynię Kali. W całym nastroju tego czerwonego piekła, w krwawych odblaskach, ślizgających się po pańskiej twarzy, triumfuje pańska tendencja. — Ja jednak inne znam Indje.

— Chodźmy — odparł Gabrjel, ujmując księcia pod ramię. Wprowadził go do bocznej, z prawej strony biegnącej nawy i odsunął, pociągając

za sznurek ciemną firankę. Oczom Artura ukazał się jasny błyszczący ekran.

— Nasza widownia — objaśniał Ferreri — będzie połączeniem teatru i kina. Na tym ekranie za pomocą ukrytych w przeciwległej ścianie perskopów, odzwierciadlać się będzie wszystko to, co da nam scena. Książę pozwoli... — Gabrjel przeprowadził Artura do lewej, bocznej nawy. Za tą ścianą znajduje się scena — proszę spojrzeć — znowu uchylił firanki i ukazał umieszczoną w murze lornetkę. Przez tę lornetkę teraz pan nic nie zobaczy, do tego potrzebne jest naciśnięcie tego ot, widzi książę, guzika, czego proszę nie robić. Gdy guzik zostanie naciśnięty, wówczas odsuwa się mała tarcza, umieszczona z drugiej strony muru od sceny. Za pomocą tej paleczki możemy regulować lornetkę stosownie do oczu, mając plany bliższe i dalsze, i co ważniejsza, podnosić ją pod kątem do góry, opuszczać na dół, przesuwając na boki. W ten sposób wszystko, co dzieć się będzie na scenie, możemy obserwować bądź na ekranie, bądź też przez lornetki, pozatem — niech książę spojrzy do góry. Silne mikrofony, jakie kazałem umieścić, pozwolą nam słyszeć nawet najciszej wypowiedziane tam na scenie słowa. Chodźmy dalej.

Idąc wzdłuż widowni, Artur zauważył, iż posiada ona kształt kolisty, zdziwieniu jego uczynił zadość Ferreri.

— Pana to dziwi? A jednak to jest rzecz jasna. Widownia ta przecież obiega wokół walca, jakim jest scena. Marzeniem mojem jest, by nasza, że się tak wyrażę sztuka, a może sketch tylko, była przynajmniej w dwóch odsłonach.

— Jak to?

— Oczywiście, będzie to rzecz trudna, może nawet nie osiągalna. — Gabrjel zasępił się widocznie. Przeszli koło wielkich, zamkniętych podwoi. — To są drzwi frontowe, wiodące tu z westybulu. Siądźmy. — Wskazał Słogockiemu miejsce tuż pod jednym z licznych ekranów. Sam usiadł ciężko obok.

— Technicznie tę rzecz biorąc, proszę księcia, trudności wszelkie zostały już pokonane. W tym walcu, w jakim znajduje się scena, jest kilka pokoi, zupełnie normalnie połączonych z sobą drzwiami. Lecz wysuwa się inna, stokroć trudniejsza kwestja. — Przecież nie mogę w chwili, w której uważam za stosowne, kazać tym ludziom zrobić antrakt, przejść na inną dekorację. — Machnął ręką znużony. Książę czytał w jego twarzy, jak wiele musiał myśleć nad tem i ile kosztować musiało go to wszystko.

— Czy to, co nazwalibyśmy w tym wypadku sztuką, uplastycznia się już w tej chwili panu? czy ma pan już jaką szematyczną koncepcję? dobór aktorów?

Gabrjel dłonią potarł czoło. — Jeszcze nie,

Jest coś niby w zarodku, co pragnąłbym bardzo, by doszło do skutku, lecz czy z artystycznego punktu widzenia zdołam to wszystko wtłoczyć w przepisową formę, uniknąć rozwlekłości, lub zbytnej szematyczności, tego powtarzam, nie wiem jeszcze i męczy mię to nad wyraz — zamilkł.

Na tle błyszczącego ekranu, na którym rysować się miało wszystko to, co dziać się będzie na tajemniczej i cichej teraz scenie, dziwnie odbijała jego postać. Dokonał już tyle, dobył z siebie tyle wysiłku, a jednak nie mógł mieć jeszcze pewności, czy swe ostatnie zadanie reżysera, nie, inspicjenta właściwie, zdoła przeprowadzić do końca. Powiódł wzrokiem po mrocznej widowni. Co do tego przynajmniej nie mógł sobie nic zarzucić. Dekoratorzy jego, z którymi mieszkał razem czas cały w swej kancelarji, dali tu wszystko to, czego wymagał od nich i pragnął. Czuł, iż myśli jego świadome celu, a intensywne, nawet podczas snu działały na nich hypnotycznie, narzucały ich psychice psychikę jego, jego kąt widzenia, konieczny tak w tym wypadku, dla uzgodnienia tła z nastrojem, jaki zamierzał stworzyć. Gabrjel powstał — chodźmy — powiedział, i przeszedłszy kilka kroków, znów znalazł się ze Słogockim w swej kancelarji.

— No, nie odmówi mi książę chyba, że się tak wyrażę, strzemiennego — wszedł w róg pokoju

i dobywszy zeń omszałą flaszkę, patrzył pod światło. — Jest to ostatnia butelka z tych, które książę przysłał mi tutaj. Bordeaux. Przyjaciele moi zapewniali mię jeszcze wczoraj, iż jest doskonałe. To też chodzili dnie całe nietrzeźwi koło swych dekoracyj. Nie wiem tylko — mówił nalewając duże kielichy — czy malarz jest trzeźwym wtedy, gdy nie pije, czy wtedy, gdy rzecz się ma naodwrot. Pan pozwoli... Wznoszę zdrowie księcia!

— A ja Gabrjela Ferreri. Nim przystąpimy do walki, zechce pan przyjąć wyrazy uznania dla jego tutaj pracy, wyrazy szczerego podziwu.

Podawszy sobie ręce, umoczyli usta w kielichach i idąc za jedną myślą, wyrzekli jednocześnie:

— Więc znaczy się za tydzień.

— To jest — obliczał na palcach Gabrjel.

— Trzynastego — stwierdził Słogocki. Przez czoła ich przeszedł jakiś dziwny niepokój. „Trzynastego“ — powtórzyli jak echo jeszcze raz, czując iż data ta musi okazać się dla jednego z nich fatalną. Pokrywając zmieszanie, znów umoczyli usta w cierpko-kwaśnem winie.

— — — — —
Była godzina 8-ma wieczór, pora spektakli i teatru. Portowa dzielnica w czarnym ginęła mroku i tylko echo licznych kroków na bruku, świad-

czyło o nocnem życiu przedmieścia. Czasem ochryply charkot pijackiej piosenki zarywał ciszę i milknął stłumiony, lub histeryczny śmiech ulicznej hetery nawodził myśli o czyichś męskich, zasmolonych łapach, nożu, niezdarnych w dresszczu zszczepionych kadłubach; zresztą cisza i mrok dławiący nieprzenikniony. Aż nagle, na skrócie jakiejs ulicy, jak dwa księżyce, dwa reflektory, w świetlanej ekspresji rzuciwszy, na czarnem tle nocy jasne płaszczyzny domów, pobiegły przed siebie wprost szosą. Biegące dwie smugi światła, utkane w brylanty wilgoci, wzniosły się nad drogą, dwa wielkie okrągłe ślepia zabłyśły impertynencko, wyzywająco; warknęły zazdrośnie i groźnie nieprzeniknione mroki przedmieścia. Z drogi! Czarny, błyszczący „Rolls-Royce“ sunął ulicą nadbrzeżną; bruk nawet nie śmiał zaskowytać pod nim.

Ogród stał cichy, milczący. Oko ludzkie, na czarnem tle nieba, z zadziwieniem dostrzegało czarniejsze jeszcze plamy drzew tego ogrodu, lecz w głębi, w willi płonęły wszystkie okna, mrugając miarowo na cichy, jakgdyby oniemiały park. Światło z rozwartych drzwi frontowych padało na białą, geometrycznie równą drogę. Przy drzwiach nie było nikogo i nikt nie nadchodził. Ten dziwny, świetlany dom, w tym pustym parku, wyglądał jak sennej twór fantazji, co zniknąć ma za chwilę. Zgasną wewnątrz lampy i przysiągłbyś,

że żaden dom tu nie stał. Poco i dla kogo naścieszaj otwarto drzwi frontowe?... Lecz nagle, przeciągły, stłumiony głos syreny; samochód wykreślił od bramy i cicho zagarniając przed sobą drogę, zbliżał się do willi. W blasku, rzuconym z weneckich okien, czarny, błyszczący „Rolls-Royce“ zatrzymał się przed tarasem. Cichutko odemknęły się drzwi auta. Z ciemnej głębi cztery wychynęły postacie: trzech cywilnych w cylindrach, pelerynach i białych, przez ramię przerzuconych szalach, jeden w blasku latarni zaświecił epoletami i karmazynem podszewki wojskowego płaszcza — Generał.

Książę Artur wszedł pierwszy do westybulu. I tu, w szatni, nie było lokaja. Rozebrali się sami; powiesiwszy nakrycia i myśląc jedynie o tem, by zjawił się ktoś prędzej, kto ich powiedzie dalej. W piersiach mieli nieprzeparty niepokój i chęć, by zagłębić się już raz czempędzej w tę jakąś złowieszczą tajemnicę, denerwującą i niebezpieczną, lecz skrytą przed okiem intruza. Drzwi westybulu wciąż jednak stały otwarte na całe przedmieście, całą stolicę, na czarną noc, co we framudze stała jeszcze podwoi wyczekująca, nieubłagane sztywna. Z jakąż rozkoszą zamknęliby za sobą te drzwi. Słogocki, stojąc po środku westybulu z generałem, podziwiał salę i szukał artystycznych motywów jej drażniącego nastroju. On jeden był pewny, iż Ferreri nie zjawia się

umyślnie. Rozglądając się wokół z uwagą, konstatawał, jak skryte gdzieś, silne źródło pomarańczowego światła uwypuklało i ożywiało olbrzymie indyjskie smoki, wypełniające ściany i gzymsy sufitu. Niezliczona ilość nieharmonijnych, gryzących się barw, w tem sztucznem świetle nabierała gorąca i ważkości roztopionego metalu. Miało się wrażenie, że pot zrasza twarz, a noc, czająca się tam za drzwiami zdławi lodem przy pierwszym ruchu. Wtem strach zjeżył wszystkim włosy: „Rolls-Royce“, stojący tam pod tarasem, zaskowytał nagle i wykręciwszy, zniknął, uciekłszy w ciemności. Jednocześnie odgłos kroków zbliżających się z parku, męczącym wyczekiwaniem zaciężył na wszystkich uszach. Ktoś szedł tam z dołu. Elektryczny dzwonek dał sygnał:

— Panowie pozwolą na widownię. — Gabrjel Ferreri we fraku, z białą chryzantemą stał w drzwiach.

...Gdy znaleźli się na miejscu i Ferreri pośpiesznie począł objaśniać techniczne urządzenie widowni, książę, stojąc z boku, obserwował jak nerwowe podniecenie wszystkich tych ludzi wzrastało z każdą chwilą. Dziwnie słuchało się tych szeptów i dziwnie wyglądali wszyscy ci mężczyźni w czarnych swych frakach pod sklepieniem monumentalnej, w krwawych blaskach płonącej sali. I tutaj było gorąco i jakoś duszno. Generał stał jakiś sztywny i nieswój. Luboński raz pierw-

szy może, pobożnie skupiony, słuchał wskazówek Gabrjela, raz po raz zdejmując swe złote binokle, co czynić miał zwyczaj w chwilach bardzo ważnych. Nogi barona Wisła drżały zlekka nerwowo, a ze zjadliwej twarzy Anatola de Rossi zniknął ten nigdy nie opuszczający go grymas.

— Teraz proszę jeszcze o zachowanie bezwzględnej ciszy w czasie seansu. Panowie rozumieją, iż jest to niezbędne. Za dziesięć minut rozpocznie się dramat, — Ferreri zbliżył się do kontaktu; przekreślił rączkę. Mrok zupełny zaległ widownię, tylko przy jasno błyszczących ekranach paliły się w górze, małe, czerwone lampki. Poeta oddalił się, bezszelestnie zamknawszy za sobą drzwi. Nie nawykłe do ciemności oczy nie spostrzec nie mogły w pierwszej chwili. Nastrój był coraz cięższy. Ci ludzie, rozmawiający już teraz szeptem, skupieni w bocznej nawie, przedzieleni zaledwie cienką ścianą od tej sceny, na której, jak mówił Ferreri, życie samo rozegrać miało swój dramat; drżeli nerwowym dreszczem narzuconej im grozy i odpowiedzialności. Minęła minuta, jedna, druga. Ucichły szepty, nieme patrzyły ekrany i lornetki, w mikrofonach szmer żaden nie głuszył ciszy, tylko ciężki przyspieszony oddech, skupionych tutaj widzów z każdą chwilą stawał się bardziej niespokojny. Jeden książę był teraz w zupełności opanowany. Stojąc na uboczu, w nikłym świetle lampki pod ekranem,

powoli sięgnął do kieszeni. Z kieszeni tej dobył we dwoje złożony karton. Książę zechce przeczytać to, lecz przed samem rozpoczęciem się sztuki — mówił mu Ferreri, gdy jeszcze szli na widownię. Teraz przyszła już pora. Mając przy sobie generała, Artur rozwinął karton i przymrużywszy oczy, począł czytać:

„DRAMAT“

Sketch w 2 aktach.

Reżyserował Gabrjel Ferreri. Dekoracje wykonał Hilary Dixon i Jakób Eger. Akcja rozgrywa się w podmiejskiej willi.

O s o b y :

Wilhelm Miller,
Elżbieta de Chenier,
Rajmund baron Wisel.

— Jaki? Co to znaczy? — Słogocki jeszcze raz przeczytał ostatnie nazwisko. — Przecież Rajmund był tu przed chwilą z nami?

— Tak, lecz wyszedł razem z Ferrerim; dostał od niego jakiś list... Nic nie rozumiem. — Generał, jak uprzednio Artur, pytającym wzrokiem powiódł do koła, lecz zamiast odpowiedzi drugi sygnał elektrycznego dzwonka wpadł nagle na widownię. To Gabrjel Ferreri, stojąc z zegarkiem w ręku, z drugiej strony domu od oficyn, dawał znaki. Drobnym deszcz mżył przenikliwym

chłodem na jego odkrytą głowę. Liczył sekundy. Wtem, napięty jego słuch podchwycił jakieś odgłosy; słuchał... Tak, to zbliżała się dorożka. Za chwilę usłyszał wyraźny tętent kopyt końskich. Do rozpoczęcia brakowało jeszcze 40 sekund. Z biciem serca, schowany za skrzydłem drzwi, liczył jeszcze do dziesięciu. Dorożka zajechała przed dom. Bezszelestnie, po dwa schody sunąc w górę Gabrjel bocznymi drzwiami wpadł do kancelarii i przebiegłszy ją, zatrzymał się na widowni.

— Już, patrząc na sekundnik szepnął właśnie Słogocki do generała.

— Już, odrzekł jak echo Gabrjel i ręką dotknął guzika, wprawiającego w ruch mechanizm, przesłaniający lornetki, pereskopy i mikrofony.

Artur i generał wzniesli szybko głowy. Na aluminowym ekranie ujrzeli słabo oświetlony gabinet; przy biurku siedział średnich lat mężczyzna, łysy i otyły, w rękę trzymał cygaro.

— Wilhelm Miller — przemysłowiec z Bombaju — objaśnił cicho Ferreri.

Najłżejszy szmer nie zagłuszał ciszy. Patrzący, którzy tak często widzieli w życiu teatr, teraz rozwartą żrenicą śledzili życie w teatrze. Naturalność na scenie, a w życiu, ten problem w każdym razie wysunął Ferreri, — pomyślał Anatol de Rossi, skupiony nad lornetką. Na jasnej aluminiowej płycie obraz żadnej nie ulegał zmianie. Ten starszy, nieznany nikomu człowiek, tkwił

nieruchomo w głębokim, ciężkim fotelu, a ciemny, tonący w mroku gabinet, zdawał się mieć w sobie tyleż skupienia i wyczekiwania, ile go mieli w swym wzroku patrzący. Lecz nagle szmer jakiś powstał w mikrofonach, za sceną czyjeś rozległy się kroki; Ferreri odetchnął, akcja została nawiązana; drzwi otworzyły się i Rajmund baron Wisel, osobą własną, stanął na scenie; mikrofon podał jego zatrwożone słowa:

— Przybywam. Mów pan prędzej, czy stryj mój nie żyje?!...

Wilhelm Miller w ukłonie uniósł się na fotelu.
— Jest zdrow zupełnie.

Zdziwienie, powstałe na twarzy barona; przed wzrokiem patrzących odbiło się na ekranie.

— Nie rozumiem i dziwię się wobec tego, jak ośmielił się pan straszyć mnie listem podobnym. Spieszyłem tu na złamanie karku, pomimo, iż powinienem być w chwili obecnej zupełnie gdzieś indziej. Pan zechce mi wytłómaczyć, co miał znaczyć ten list?

Wisel rzucił na biórko papier, który trzymał w rękę. Z widowni żadne nie dochodziły szmery. Miller począł mówić spokojnie, perswadując:

— Przedewszystkiem zechce pan baron usiąść i wysłuchać mnie spokojnie. Rozmowa zajmie nam dłuższą chwilę czasu.

— To pan może zechce wytłómaczyć się przędzej.

W głosie Wisła brzmiała impertynencja i jakby wyzwanie.

— Panie Wisel, rozmowa nasza jest zależna wyłącznie od pańskiej woli. Ostrzegam jednak pana, iż konsekwencje nieporozumienia się ze mną będą niewspółmiernie przykrejsze dla pana, niż dla mnie. Pan baron zechce zrozumieć, iż tylko ważne powody mogły mię skłonić do skreślenia tego listu.

— Dziwna forma naznaczania schadzek — baron wielkimi krokami przemierzał gabinet. Nie domyśla się pan nawet, co straciłem przybywając tutaj. Gdzie my właściwie jesteśmy?

— Na zupełnie neutralnym gruncie. Jest to lokal zaofiarowany mi przez jednego z mych znajomych, zresztą, widział pan pewnie, jadąc tutaj. Jest to ulica Nadbrzeżna, numer domu 23.

— Więc proszę, słucham — Wisel siadł na fotelu, obok przemysłowca.

— Pan baron — zaczął Miller — będąc kilka miesięcy temu w Bombaju u swego stryja, słyszał zapewne, iż stryj jego nie przyjął transportu narzędzi górniczych i całego taboru, jaki nadesłała mu nasza firma.

— To są sprawy mojego stryja, które mnie nie obchodzą. Przytem uważam, iż postąpił on słusznie, dając pierwszeństwo firmie naszej, nie zaś obcej, jaką wy jesteście. W czynie mojego stryja nie tylko nie było przekroczenia kompeten-

cji, udzielonych mu przez nasz rząd, lecz wprost przeciwnie. W sprawie tej zasłużył sobie na uznanie.

— Jednakże spółka, której jestem dyrektorem, dzięki patryjotycznym uczuciom barona seniora Wisła, poniesie poprostu miljonowe straty.

— Panie Miller, mieliśmy mówić o sprawie, jak pan zaznaczył, dotyczącej się mnie. Jeżeli pan odważył się przypuszczać...

— Pan zechce wysłuchać do końca — przerwał Miller. — Sprawa odnosi się i do pana. Otóż pomiędzy firmą naszą, a stryjem pana zawarty był kontrakt na lat 5, do dziś dnia będący w mocy. Treścią tego kontraktu było, iż wszelkie dostawy dla przemysłowych przedsiębiorstw, zawiadywanych przez stryja pańskiego, należeć będą do naszej spółki. Stryj pański, wchodząc w umowę z inną firmą, skorzystał tylko z pretekstu, by zerwać z nami. Pan baron o tem dobrze wie. Braki, jakie znalazły się w tak wielkim transporcie, zdarzyć się mogą zawsze, przytem zgadzaliśmy się je wymienić. Pan baron senior Wisel nie zgodził się.

W mikrofonach widowni rozbrzmiewał gwizd młodego barona. Przez lornetki patrzący widzieli jego postać siedzącą niedbale na fotelu i jego nogę, którą bujał w powietrzu. Nagle gwizd ucichł; pytający wzrok Wisła zawadził o uszy słuchaczy.

— Do rzeczy, panie Miller, do rzeczy, cóż mię to wszystko obchodzi?

— I bardzo, panie baronie. — Otyły człowiek z rękami w kieszeniach wstał od biórka. — Jeśli stryj pański zerwie z nami kontrakt, ściągnie to nieobliczalną szkodę dla pana.

— Dla mnie! Czy pan jest tylko przy zdrowych zmysłach?

— Zupełnie. Mam sposób, za pomocą którego trzymam pana w swych rękach, panie baronie.

Na ciemnej widowni palce generała wpłyły się w ramię księcia. Jak echo myśli generała zadźwięczały słowami Wisła mikrofony:

— To szantaż!

— Szantaż? nie powiem. Pomijam już, iż patryjotyczny, za jaki go pan uważasz, postępek pańskiego stryja, przeczy przyjętej etyce handlowej, pomijam, iż ten postępek pozbawi mię stanowiska, majątku nawet, lecz czy pan zdaje sobie sprawę, co więcej jeszcze pociągnie on za sobą? Oto z nieodzowną ruiną naszej firmy, pozbawi on chleba setki i tysiące ludzi u nas pracujących; to nie wszystko jeszcze: Banki, których wiele posiadamy na wyłączną własność, lub których jesteśmy głównymi akcjonariuszami, ogłaszają bankructwo. Setki innych, nie zainteresowanych ludzi zostaną bez chleba i bez zajęcia, a wszystkie oszczędności obywateli niemieckich, którzy w tych

bankach składali swe pieniądze, przepadną im bezpowrotnie.

— Panie Miller, mnie to nudzi — ziewając, czy udając ziewanie, przerwał Wisel.

— Możliwe. Pan nie jest Niemcem, ale ja jestem nim i poczuwam się do odpowiedzialności przed wszystkimi tymi ludźmi, którzy uwierzyli mi tak, jak ja zawierzyłem pańskiemu stryjowi. Dlatego to, co pan nazwał szantażem, nie uchybia mi w zupełności. Nie przebieram w środkach, tak samo, jak w nich nie przebiera stryj pański. Miał wpędzać w ruinę setki i tysiące ludzi, wolę wykorzystać pewne atuty, które posiadam, a za pomocą których mogę odwrócić ruinę, o której wspominałem panu.

Miller przerwał na chwilę, a wyjąwszy z bocznej kieszeni jakieś papiery i zaczerpnąwszy powietrza spytał wręcz:

— Pan, panie baronie, zaciągał tutaj w stolicę, o ile się nie mylę, jakieś długie, kładąc na wekslach podpis opiekuna swego i stryja?

— Co to ma znaczyć! — Wisel zerwał się na równe nogi.

— Pan zechce spocząć, rozmawiać można tylko spokojnie. Te wszystkie weksle, dzięki usilnym zabiegom, ja zdołałem zdyskontować na bardzo ciężkich warunkach.

Wisel w pasji rozśmiał się zjadliwie.

— Wszelkie przecież straty odbije pan sobie na mnie?

— Bezwątpienia, w tym celu tutaj jestem.

Baron ostentacyjnie odsunął się w róg gabinetu.

— Panie Miller, aczkolwiek nie przypuszczam, by podobne transakcje wchodziły w zakres jego specjalności, jednakże nie dziwię mu się. Kondycja pańska nie zobowiązuje i nie wyklucza lichwy. Spieszę tylko wyjaśnić, iż przeliczył się pan cokolwiek, sądząc, iż weksłami temi zdoła mnie pan zastraszyć. Jeśli na zobowiązaniach kładłem podpisy mego stryja, czyniłem to dlatego, iż komunikowanie się z nim w każdej blahostce, uważałem za zbyt dużą stratę czasu.

W miarę swoich wyjaśnień Wisel stawał się coraz bardziej rozdrażniony. Miller zaś wprost przeciwnie; z pogodnym uśmiechem skinął głową:

— Nie wątpię ani na chwilę o prawdzie słów pana, a wszelkie jego obelgi zostawiam na boku, jako nie mogące mnie dotyczyć. Jednakże spójrzmy na rzeczy jasno i formalnie. Pan baron jest mi potrzebny, ja posiadam weksle pana barona z fałszywym podpisem, które mogę w każdej chwili opublikować. W ten sposób trzymam go w ręku.

...Generał odskoczył od lornetki. Miał dość tego wszystkiego; szedł w stronę Gabrijela Ferreri, szedł, aby rzucić w oczy temu cudzoziemcowi całą

swoją pogardę za szantaż, jaki wywłókl z mroków walki o życie, który przesuwiał przed ich oczami, kompromitując kraj, w którym doznał gościny. Nagle silna dłoń Słogockiego spoczęła na strojnem w epolety ramieniu generała. Usłyszał szept Artura:

— Wszelki skandal będzie najwyższem głupstwem. Rzecz jest przykra, lecz Ferreri jest w zupełnym porządku. Stokroć lepiej, iż sprawa ta znalazła się tutaj, niżby rozstrzygnąć się miała na szerszej arenie.

— Ależ to straszne. Nie mogę słuchać dłużej i patrzeć beczynn timer na to wszystko.

— Trudno. — Słogocki, zatrzymując generała, stanął z nim w pośrodku widowni. Spojrzał na Lubońskiego: Luboński jedwabną chusteczką ocierał pot, który wystąpił mu na czoło. Twarzy Anatola de Rossi nie można było dostrzec, tak cała ginęła w wgłębieniu lornetki. Tylko genialny Ferreri, inicjator teatru, reżyser, inspicjent, stał pewny siebie, dostojny, spokojny, śledząc gest każdy na scenie; zasluchany w treść słowa każdego tej sztuki, co rodząc się, odtwarzała się jednocześnie. A linja dramatycznego napięcia wzrastała z każdą chwilą. Tam na tej dziwnej scenie, stworzonej przez artystę, życie toczyło swą walkę. Ktoś silny, stojąc w obronie swojej i bliskich mu ludzi, walczył nie przebierając w środkach z kimś innym, nieobecnym tu nawet. Walczył w ten spo-

sób, iż groził człowiekowi, którego ukochał ów rywal, który nosił to samo co ów rywal nazwisko, który miał być jedynym jego sukcesorem. Zakulisowy dramat życia wypłynął pod rampę. Wisel na scenie miotał się jak w matni. Jego oburzenie, jego groźby rozбивały się o niewzruszony, straszny spokój tego człowieka, który na serjo trzymał go w rękę i był gotów na wszystko. Miller miał jedną odpowiedź i jedno żądanie: albo dziś, tutaj zaraz baron napisze list do stryja, wymoże na nim, iż nie zerwie wiążących go kontraktów, albo jutro cała stolica czytać będzie w prasie, że młody baron Rajmund Wisel pod zarzutem fałszerstwa, został aresztowany.

— To podłość!

— To tylko jedynie skuteczny środek.

Umilkły na moment mikrofony i znowu rozbrzmiały splotem słów, wykrzykników, gamą bólu i groźby, bezsilną obroną i całym strasznym konfliktem. Ferreri stwierdził chłodno, iż pierwszy akt skończyć się winien niedługo. Opór barona tracił na mocy. Pereskopy raz po raz w różnych punktach rzucały jego sylwetę zlamaną, bezsilnie tragiczną. To, czego żądał od niego ten człowiek, przechodziło siły barona, narażało go na poniżenie, mogło wykołować jego opiekuna, pozbawić go widoków na przyszłość, zachwiać majątkiem, a jednak nie miał wyjścia. Dzisiejsze pogrożki Millera, jutro być mogły już faktem dokonanym.

Elżbieta — wyszeptał z rozpaczą Wisel. W tej samej chwili w oczach poety na widowni zabłysnął triumf. — Akt dobiega końca — wyszeptał do księcia.

Wisel na scenie z głową w dłoniach, myślał w tej chwili o swej narzeczonej. Czyż mógł, czyż mógł! zadać jej cios podobny. A jednak? Przystać na warunki Millera było podłością. W głowie zawiroowało baronowi. Czuł, iż wpadł w jakąś stłową, raniącą go sieć, z której wywikłać się nie miał sposobu. Stał nad przepaścią i patrzył w straszną jej czelusć, a niemy jego lęk bezszelstnie snuł się w mikrofonach i echem groźnej ciszy pelzał po widowni. Przez lornetkę badawcze, sugestywne oczy Gabrijela wpijały się w postać barona.

Nagle Wisel podniósł się — patrzący zadrżeli, — był złamany i jakiś tragicznie spokojny. Jakaś myśl ciężka owładnęła nim całym, przykuła jego całą uwagę, wskazując na coś, coś! co strachem skuło widzów. Patrzący zadrżeli, bo przecucie końca tej sztuki i dramatu przygniotło tak ich świadomość, iż nie śmieli już teraz poruszyć się z miejsca, a oddech zamarł im w piersiach.

Na scenie Wisel uśmiechnął się do Millera — ten uśmiech był straszny.

— Wygrał pan — szepnął, lecz nie zupełnie... Poza tem mam jedną prośbę — zawahał się. — Pan

pozwoli, iż zadzwonię do mej narzeczonej; chciałem ją widzieć w tej chwili.

Miller skinął głową. Baron Wisel wciąż z dziwnym na ustach uśmiechem zbliżył się do telefonu. Gdy jednak ujął słuchawkę, gdy Miller nie mógł widzieć jego rysów, książę Artur Słogocki ujrzał na ekranie, jak maska opadła z twarzy barona — w drżących ustach ujrzał wyraz tak straszny, tak tragiczny, iż tego nie mógł w tej chwili zaprzeczyć nikomu: — była to twarz samobójcy.

— Koniec aktu pierwszego! Zawarły się automaty, zniknęło wszystko z ekranów i lornetek, ucichły mikrofony.

— Antrakt dziesięć minut — oznajmił Gabrjel Ferreri.

— — — — —
Nerwowo zapalano podczas antraktu w westybulu papierosy. Słogocki stwierdził, iż chyba przedziwny nastrój całego tego domu i jakiś fluid, idący od poety, wstrzymuje tych wszystkich ludzi od przecięcia tej strasznej gry. Tak, był to wpływ Gabrjela. Ten człowiek poruszył w nich jakieś struny duszy tak, iż zapomnieli o wszystkim. Zapomnieli, iż tam, na milczącej teraz scenie, męczy się tocząc z sobą bezsilnie straszną walkę, człowiek dobrze im znany, człowiek nieszczęśliwy; zapomnieli o strasznej swej niedyskrecji, zapomnieli o strasznej moralnej odpowiedzialności

i tej innej jeszcze, jaka czekała ich w następstwie dramatu barona.

Jak genialnym był jednak ten Gabrjel. Pod ciężkiem przygniatającem sklepieniem sali, książę miał przy sobie jego postać o linjach szlachetnych, wysmukłą, zdecydowaną, spokojną. Czy miał on jakieś wyrzuty, skrupuły? Nie, wprost przeciwnie, żadne drugorzędne kwestje nie miały doń przystępu, tak, jak nie miały go do księcia. Los barona Rajmunda Wisła jako takiego nie obchodził ich w zupełności. Gdy dyskutując wymienili jego imię — Ferreri, przebiegając w palcach swą białą chryzantemę, objaśniał zupełnie spokojnie Artura, dlaczego barona właśnie użył do tej roli:

— Zależało mi na nim specjalnie — mówił — choć mogłem wybierać i miałem wybór. Mogłem na tę scenę zwabić również podstępnie Ottona Krisa, człowieka wielkich zdolności, archeologa, badacza, obarczonego straszną, nieuleczalną chorobą. Byłbym mu zaproponował wyjazd z ekspedycją naukową, o której marzył przez całe życie i byłbym go zgubił. Świadomość tego, iż w zabójczym klimacie kraju spotka go śmierć rychła i nieunikniona, zabiłaby go tutaj na miejscu. Byłaby to tylko kwestja odpowiedniego zaaranżowania. Kris targnąłby się na życie nie wytrzymawszy zestawienia możliwości urzeczywistnienia swych marzeń z swym beznadziejnym stanem

zdrowia. Ale właśnie dlatego nie chciałem — tłumaczył się Ferreri — nie chciałem mieć tego atutu, jaki dawała mi choroba tego człowieka. Millerera poznałem przypadkowo i dramat ten przypadkowo wysnułem z życia.

— I zdaniem pańskim? — pytał książę, utkwivszy spokojne swe oczy w oczach poety.

— Zdaniem mojem, dobiegamy do końca. Akt drugi nie zmieni nic w założeniu. Kobieta pogłębi dramat.

Umilkli, i tylko gorące, podobne do gęstej cieczy, świetlne refleksy w krwawych smugach spływały po palcach Gabrjela na białą chryzantemę. Kto zginać miał w tej walce, czy tylko baron Wisel? Czy może także kobieta? Czy linja dramatu załamie się jeszcze i zbrodni dokona ten baron na nienawistnym Millerze?... I poeta i książę trwali wciąż jeszcze w milczeniu.

Wtem odgłos dzwonka tak silnie wstrząsnął obecnych, iż przerażone oczy, jak straszny znak zapytania utkwivły się w Gabrjelu. Ferreri ozwał się wolno:

— To znak, iż powóz panny Chénier dąży już przez przedmieście. Moi ludzie obstawili całą ulicę. Chodźmy już jednak na widownię.

Powolnie, drżącemi rękami gaszono na popielniczkach papierosy.

Dziwna bezradność w połączeniu z emocją, wyzierała nawet z twarzy generała; wzrokiem szu-

kał pociechy u księcia; Artur jednak zostawił go sobie samemu.

Drugi dzwonek, lecz ledwie dosłyszalny, echem drgał w sercach zebranych. Ferreri stał już przy swoim automacie. Z ręką na elektrycznym guziku, obserwując scenę. Ostatni na widownię wchodził książę, zamykając za sobą drzwi.

— Cyt... — znowu załomotały serca; piersiom zabrakło powietrza, a oczy znowu zawisły na twarzy poety. Ferreri z ręką na elektrycznym guziku, wzrokiem wciąż śledził scenę. Tak, to się stanie, w strasznem przekonaniu stwierdzili obecni. Jeden książę trwał ciągle zamknięty w sobie.

— Już... — Ręka Gabrjela dotknęła mechanizmu. —

AKT II-gi.

W smudze światła, z rozwartych drzwi buduaru Elżbieta de Chénier wbiegła na scenę.

Artur stał teraz przy lornetce i patrząc w postać młodej i pięknej kobiety, słuchał jak w mikrofonach brzmiały jej załęcznione słowa:

— Gdzie jest baron, gdzie jest baron Rajmund! — wołała do lokaja, biegając po mrocznym buduarze. — Wzywał przed chwilą mię tutaj!

Lokaj milcząc, znikł w drzwiach do dalszych pokoi.

— O, Boże! cóż stać się mogło. — Elżbieta bezwiednie darła w palcach koronkową chustkę.

Nagle drzwi, za któremi zniknął lokaj, otworzyły się.

Na widowni zadrżał generał lord Holland. Wia-
ra, którą przejął od Słogockiego, rozprysła się
w nim w tej chwili.

W drzwiach, wsparty o framugę, napoły nie-
przytomny, stał baron Wisel.

— Elżbieto — wyszeptał złamany.

— Co tobie! co się stało, Rajmundzie mów!

— Elżbieto! — W czerwonym świetle ampli,
ciemna sylwetka dwóch osób przesuwawała się przez
buduar. Wisel opadł na sofę. Wzrok księcia chło-
nął złamaną postać barona, a słuch chwycił roz-
paczne pytania Elżbiety. W pewnej chwili w mi-
krofonach zajęczał głos Wisła. Rzucił jakieś pół
wyjaśnienia, mówił o labiryncie bez wyjścia, mó-
wił o hańbie, jaka spaść może nań w każdej chwili
z woli jednego człowieka. Artur widział, jak ba-
ron cierpiał i ani drgnął; widział oniemiały wzrok
Elżbiety, wzrok młodej, pięknej a bezzadnej ko-
biety i też ani drgnął. Teraz oczy księcia zwróco-
ne były w inną stronę: Patrzył na Gabrijela Fer-
reri. Gdyby ktokolwiek w tej chwili widział twarz
księcia, jego skupiony wzrok i zaciśnięte zęby, ten
odgadłby łatwo, iż pomiędzy tymi dwoma ludźmi,
toczyła się mimo pozorów, walka na śmierć lub
życie. Artur śledził grę twarzy poety i był tak sku-
piony i tak zamknięty sam w sobie, jak ongiś,
w ten wieczór, gdy odstąpiwszy zwłok żony, je-

chał z baronem Wislem, z tym Wislem ze sce-
ny, do kabaretu. Czy była tu jakaś analogja?...
Czy była tu walka, jeżeli nie z czemś jak wtedy,
to o coś, o coś bardzo jedynie ważnego?!...

Płacz męski zadrgał nierówną gamą w mikro-
fonach. Dramat dobiegał do końca. Ferreri w po-
czuciu zebranych święcił już swój straszny tri-
umf. Wszystko przewidywał, a przykład, życie sa-
mo stwierdzało jego definicje i w duszach tych
ludzi z zawrotną szybkością przekształcało się
w pewnik. Ani jeden głos opozycji. Ten płacz, ten
męski płacz, co drgał w mikrofonach, rozpaczny
nastrojem sceny wionął i na tę dziwną widownię.
— To się zaraz rozstrzygnie, to musi się rozstrzy-
gnąć. — Luboński, który sam wraz z całą opinią
sądził, iż nic go już z równowagi wytrącić nie
zdoła, czuł pod powieką nadmiar niewyplakanych
łez, wewnętrznych jego łez, które ten młody,
o dziwnej intuicji poeta, zdołał wydobyć z niego
— z Lubońskiego. — De Rossi patrzył na Gabrijela
tak uważnie i tak nieśmiało, jakgdyby tchnął
w tej chwili mądrość, zawartą w jakiejś księdze,
której autorowi dawno przyznano genialność. Ge-
nerał stał jeszcze przy lornetce. Nagle i on za-
drżał, zadrżał powtórnie i silniej niż uprzednio.

— Słuchaj, słuchaj — wyszeptał zbielełymi
usty w twarz Słogockiego — tam na stoliku, przy
tej kozecie leży rewolwer, widziałeś?

— Widziałem.

— Słuchaj, Wisel patrzy na ten rewolwer. Ten Ferreri ma rację.

— Niema racji! — Słogocki ręce włożył do kieszeni. Jego pozycja, jego zachowanie się było niezrozumiałe; miało w sobie coś niepojętego. Ten człowiek sam jeden, wbrew wszelkim szansom, nie tylko zwycięstwa, ale poprostu odwrotu, rzucał rękawicę wszystkiemu; życiu samemu.

Ferreri ozwał się do księcia. Na ustach miał dziwny uśmiech:

— Akt drugi i sztuka skończą się najdalej za dziesięć minut, to znaczy się, trwać będą w przepisowym czasie.

— Pan zbyt się entuzjazmuje panie Ferreri. Ten akt może się wcale nie skończyć na tej scenie, ale gdzieś indziej zupełnie i...

Wtem książę nie kończąc zdania, przypadł do lornetki. — Co to jest?!

Baron Wisel, trzymając w ręku rewolwer, szamotał się z narzeczoną:

— Puść!

— Nie puszczę!

Wisel:

— Puść!!

Elżbieta:

— Nie puszczę!!

Wisel:

— Puść, zabiję się! muszę się zabić!

Elżbieta:

— Nie! Na miłość naszą, na wszystko co święte! przysięgam ci, nie puszczę!

Ztoczyli się razem z kozety, szamocząc na dywanie. W nierównej walce słabła:

Elżbieta:

— Ach, podły jesteś! Na pamięć matki puść moją rękę!...

Ogromny spazm kobiety oprzytomnił Wisła. Podniósł się, ręką pocierając czoło.

— Masz rację, jestem podły, podły w stosunku do ciebie, jak nigdy dotąd. Oddaj mi ten rewolwer — wyciągnął rękę. — Nie lękaj się, przysięgam, iż się nie zabije.

— Przysięgasz?

— Tak.

Podala mu rewolwer. Ferreri nawet nie drgnął przy swojej lornetce.

Baron uspakajał się. Mój zamiar był niegodny — zaczął. — Skończyłbym jak tchórz. Jest inny sposób. Prawie teatralnym ruchem obciągnął frak, zmierzając ku drzwiom.

Ferreri z nad swego wizjera, bijąc jakiś takt ręką, szeptał do siebie: Sprawdzi się moje drugie przypuszczenie, tak drugie przypuszczenie, Wi-

sel zabije Millera! Tak, tak!... Biegnie ku drzwiom. Dobrze!... Szamocze się z narzeczoną. Nie dawaj jej rewolweru... Rzuć ją o ziemię!

— Ciszej! — ręka księcia przywarła na moment do ust poety.

Ferreri odepchnął go i przywarł do lornetki, milcząc już jednakże.

Książę odwrócił się do ekranu i stojąc odeń o kilka kroków, spokojnym wzrokiem obserwował scenę. Widział i słyszał jak Elżbieta na klęczkach błagała barona, by ją wysłuchał, by choć wysłuchał, a później zrobi co zechce. — Za plecami księcia Gabrijel dyszał nad wizjerem. Cienkie jego palce wpily się w lornetkę. Elżbieta coś tłumaczyła Rajmundowi. Mówiła coś, coś strasznego dla Gabrijela! coś niezrozumiałego. Rozluźnił palcami swój krawat i słuchał, nie rozumiejąc słów prostych, co brzmiały teraz w mikrofonach.

— Zastanów się — błagała Elżbieta — ty nie zabijesz go. Uciekajmy dziś, zaraz! Na cóż ci śmieszna zemsta, co przeciw szczęściu twojemu znaczy cała głupia opinia.

Ferreri z jękiem rozpachy słuchał dalej.

— Rzuć wszystko to, przekreśl, podepcz! w imię naszej miłości — mówiła tuląc się do Rajmunda i prac nań swem ciałem, wlewała w niego zwycięski impuls życia, budziła sobą w nim zmysły, broń wielką i radosną.

Ferreri jak szalony odskoczył od lornetki. Biegł

przez widownię, biegł bez celu, czując na swoich plecach, na całym swym ciele wzrok Słogockiego. W rozpachy swojej, w poczuciu, iż coś w proch rozsypuje się przed nim, coś wali się nad jego głowę, tracił świadomość. Dobiegły go jeszcze słowa, podane przez mikrofony tak precezyjnie przezeń skonstruowane:

— Uciekajmy! To, co było, zostanie poza nami i nic nie zdoła przekreślić ni życia, ni szczęścia naszego.

Nie wiedząc poco to czyni, byle nie słyszeć tych strasznych słów, byle nie widzieć tego wszystkiego, co duchem swym własnym wywołał, skuli własnym sercem i rękami, wpadł do kancelarii. Za sobą słyszał czyjeś kroki — to książę, książę za sekundę może zwycięzca, szedł za nim. Nie!...

Patrzący wzrok oderwali od sceny. Luboński czuł, iż wyłoniła się jakaś nowa kwestja, której nikt chyba, nawet Ferreri nie przewidywał.

Nagle! przypadli do lornetek.

To suchy trzask rewolwerowy podrzucił ich na miejscu.

— Wisel się zabił!

— Nie, nieprawda! — zagórował czyjś głos zdecydowany.

— Tu, tu! — wołał książę, gdy zbiegli się ku niemu — kryje się całe rozwiązanie!

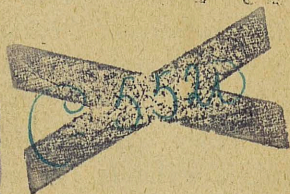
Pięścią pchnął drzwi,

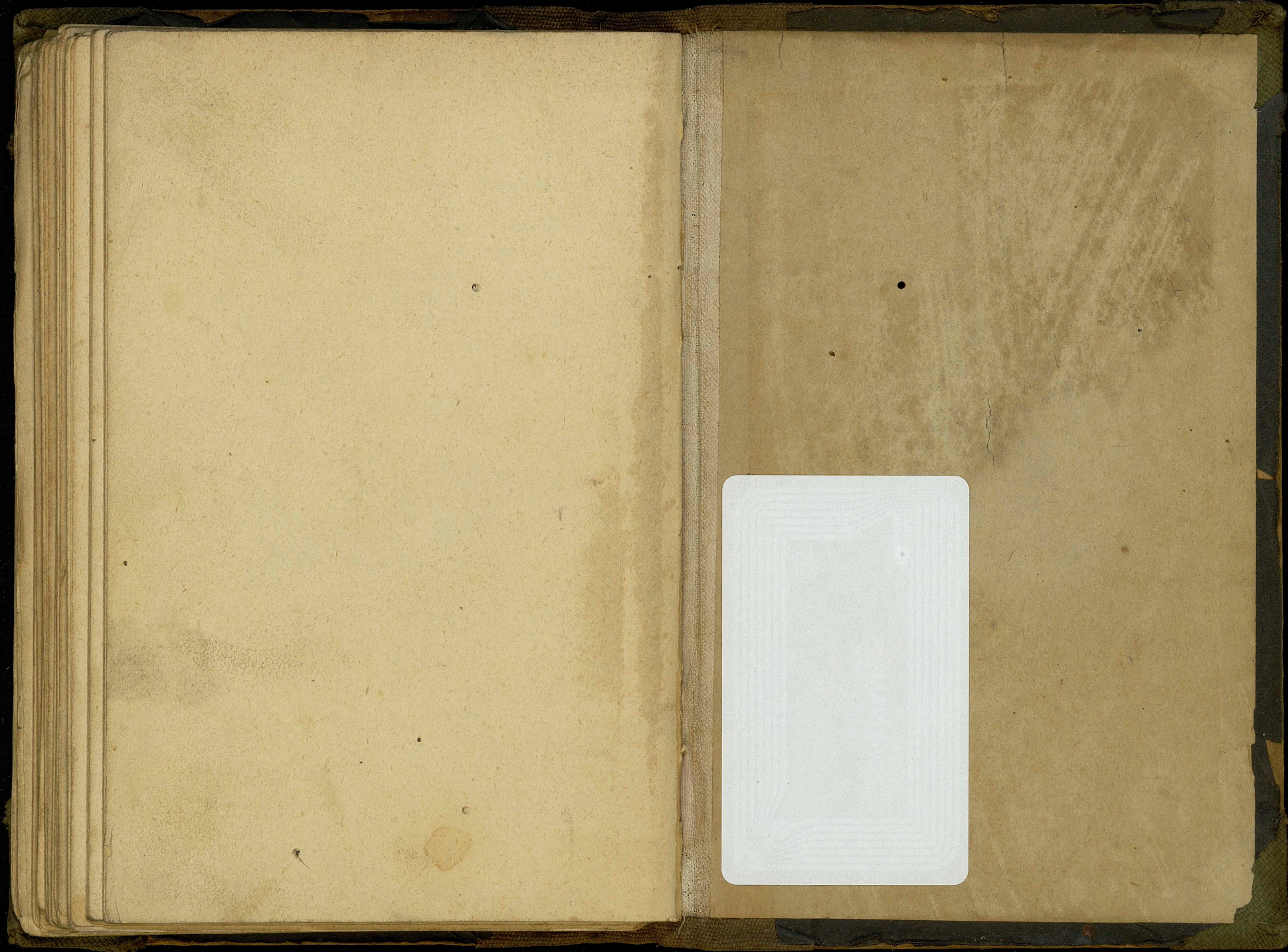
Na ziemi, w swej kancelarji, w czerwonej ka-
łuży krwi, leżał martwy Gabrjel Ferreri. W za-
marłych przed chwilą oczach zastygł mu strach
i przerażenie...

Oniemieli ze zgrozy, bez słowa, bez żadnej myśli
stali zebrani. Książę wyciągnął ramię:

— Nie tam, nie na scenie życia pierwiastek
tkwił dramatu. Panowie źleście patrzeli; dramat
rozgrywał się tutaj, w duszy tego poety, *albowiem*
wszelki dramat nie życie wytworzyło, lecz czło-
wiek go wyhodował.

KONIEC.





484320

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0489916